# Chopin zabrzmi w sieci



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival Hamburg**

**Jolanta Łada-Zielke** *(Hamburg)*

Niemieckie sale koncertowe i sceny operowe powoli otwierają swoje podwoje dla słuchaczy, którzy mogą już obcować z muzyką „na żywo”. Na razie na widownię wpuszczane są osoby z negatywnym wynikiem testu na obecność koronawirusa, a ilość widzów jest organiczona. Dlatego niektóre imprezy muzyczne odbywają się jeszcze online, ale dzięki temu docierają do szerszej publiczności. W przypadku Festiwalu Chopinowskiego w Hamburgu, którego specjalną, trzecią edycję będzie można obejrzeć w dniach od 11 do 13 czerwca 2021 r., dochodzi tu jeszcze jedna zaleta: precyzja brzmienia historycznych i nowoczesnych instrumentów, które będą zestawiane ze sobą w nietypowych kombinacjach. Na Festiwalu wystąpią światowej sławy pianiści: Mari Kodama, Severin von Eckardstein, Tomasz Ritter, Stepan Simonian, Dina Yoffe (która poprowadzi kurs mistrzowski dla studentów Wyższej Szkoły Muzycznej i Teatralnej) oraz klawesynista Menno van Delft. Instrumenty i sale koncertowe udostępnia Muzeum Sztuki i Rzemiosła w Hamburgu. Pomysłodawcą, intendentem i uczestnikiem Festiwalu jest profesor Hubert Rutkowski z Wyższej Szkoły Muzycznej i Teatralnej w Hamburgu, Prezes Towarzystwa Chopinowskiego Hamburg & Sachsenwald, który opowie więcej o tym wydarzeniu muzycznym.



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival Hamburg**

**Jolanta Łada-Zielke:**

**Dwie pierwsze edycje festiwalu odbyły się jeszcze przed pandemią, w 2018 i w 2019 roku. Czym szczególnym wyróżnia się obecna?**

**Hubert Rutkowski:**

Specjalnością naszego festiwalu jest prezentacja nie tylko wybitnych artystów, ale i instrumentów, zarówno współczesnych, jak i historycznych. Od samego początku współpracujemy z *Museum für Kunst und Gewerbe* (Muzeum Sztuki i Rzemiosła) w Hamburgu, które udostępnia nam historyczne instrumenty. Mając do dyspozycji starsze i nowoczesne modele, dokonujemy swego rodzaju konfrontacji tych dwóch światów dźwiękowych. Myślę, że trzecia edycja naszej imprezy, w trakcie pandemii, może zyskać przez fakt, że wszystkie koncerty będą transmitowane na żywo. Dzięki temu nasz przekaz dotrze do większej liczby odbiorców.

**W tym roku prezentują Państwo twórczość Chopina w różnych kontekstach, nie tylko w romantycznym, lecz także w barokowym, bo jednym z gościnnie występujących artystów jest klawesynista z Holandii Menno van Delft. Czy to rodzaj eksperymentu, czy celowy zabieg?**

Jedno i drugie. Związek Chopina z muzyką barokową jest bardzo silny, ponieważ Bach był dla niego niesamowicie istotnym i ważnym kompozytorem.  Granie muzyki Bacha i inspirowanie się nim stanowi ważny aspekt w twórczości Chopina. Z drugiej strony rzeczywiście przeprowadzamy pewien eksperyment, dlatego że na jednym z koncertów zabrzmi oryginalny, historyczny klawesyn Zell z 1728 roku, w zestawieniu ze współczesnym fortepianem Shigeru-Kawai. Menno van Delft i

Stepan Simonian wykonają nie tylko te same utwory na obu instrumentach, ale nawet kilka z nich zagrają równocześnie. Dla niektórych jest to wręcz niedopuszczalne, że historyczny klawesyn gra *unisono* ze współczesnym fortepianem. My jednak podejmujemy się takiego eksperymentu, zwłaszcza że oba te instrumenty będą zestrojone w stroju barokowym. To też bardzo ciekawy zabieg, który przy normalnej, koncertowej akustyce, mógłby się nie sprawdzić. Natomiast podczas naszego koncertu, to urozmaicone brzmienie będzie mogło dotrzeć do słuchacza w bardzo precyzyjny sposób, dzięki technice *live stream* i profesjonalnej realizacji dźwięku.

**Drugi kontekst jest późnoromantyczny: Debussy, Rachmaninow, Saint-Saens, a więc kompozytorzy, którzy mogli inspirować się muzyką Chopina.**

Absolutnie tak, bo to jest festiwal pianistyczny, który prezentuje muzykę fortepianową w różnych kontekstach. Podczas koncertu inauguracyjnego wykonam razem z Severinem von Eckardsteinem utwory uważane za największe osiągnięcia literatury pianistycznej na dwa fortepiany. W programie znajdzie się suita Rachmaninowa, „Dance macabre” Saint-Saënsa, Rondo Chopina i Sonata Mozarta. Zaprezentujemy brzmienie fortepianu i jego możliwości w obsadzie duetowej.

**Jeśli chodzi o rozwój budowy fortepianów, to w ciągu**

**ostatnich dwustu lat głębokość zapadania się klawiszy zwiększyła się z 5-6 do 10 mm. Wynika stąd, że dziś pianiści muszą zwiększyć siłę nacisku. Muzyka Chopina wymaga jednak pewnej lekkości, choć jest momentami dramatyczna. Czy wobec tego łatwiej jest grać Chopina na instrumencie historycznym, niż na nowoczesnym?**

To zależy od utworów i od właściwości konkretnego instrumentu. Z czysto technicznego punktu widzenia, niektóre wirtuozowskie dzieła łatwiej jest zagrać na fortepianie współczesnym, bo posiada on bardziej doskonały mechanizm, który niejako „pomaga" pianiście. Mimo, że głębokość zapadania się klawiszy jest większa, ma się do dyspozycji mechanizm tzw. podwójnej repetycji, można więc bardziej zdać się na instrument, który pomoże nam wydobyć pewne efekty bez specjalnego wysiłku z naszej strony. Na fortepianie historycznym należy grać z niesamowitą precyzją, bo jego mechanika nie jest tak doskonała. Trzeba bardzo się napracować, żeby jakość dźwięku była dokładnie taka, o jaką chodzi. Z drugiej strony uwagi, jakie Chopin zapisał w tekście swoich partytur, nie są do końca możliwe do zrealizowania na współczesnym instrumencie. Na fortepianie Pleyela (1847),albo Èrarda (1880) pewne efekty pojawiają się w sposób naturalny, podczas gdy dla nowoczesnego instrumentu musielibyśmy je specjalnie zaaranżować. Ten temat jest bardzo szeroki i nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

**Ale studenci biorący udział w warsztatowej części festiwalu będą grać na nowoczesnym modelu Shigeru-Kawai?**

Oczywiście. Cała sztuka polega na przeniesieniu doświadczenia nabytego w grze na instrumentach historycznych na fortepian współczesny. Dina Yoffe, która będzie prowadzić kurs mistrzowski, ma bardzo bogate doświadczenie w tym zakresie. Znane są nagrania utworów, które wykonywała na fortepianie historycznym.

**Muzykę Fryderyka Chopina szczególnie lubią Słowianie i melomani z krajów azjatyckich. A jak odbierają go Niemcy, którzy mają aż tylu wybitnych kompozytorów?**

W środowisku zawodowych muzyków Chopin należy bezzwględnie do kanonu najwyższych standardów, a  wśród pianistów znajomość jego utworów jest obowiązkowa. Natomiast dla przeciętnych melomanów, którzy chodzą na koncerty, ale nie mają pogłębionej wiedzy muzycznej, Chopin niekoniecznie znajduje się na pierwszym planie. Dlatego celem naszego festiwalu jest również pokazanie i zaakcentowanie postaci Fryderyka Chopina w Hamburgu – mieście Felixa Mendelssohna i Johannesa Brahmsa, które leży w połowie drogi między Paryżem a Warszawą. Chopin jest bowiem bardzo ważną postacią zarówno dla pianistyki, jak i pedagogiki pianistycznej oraz kompozycji.



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival Hamburg**

**Hamburg jest także miastem Carla Philippa Emanuela Bacha, chociaż utwory fortepianowe stanowią niewielką część jego twórczości.**

Tak, ale napisał za to bardzo ważną pracę pod tytułem *Versuch über die wahre Art das Clavier zu spielen*. Tę książkę można wręcz potraktować jako pierwszy podręcznik do gry na instrumentach klawiszowych. Carl Philipp Emanuel Bach miał więc ważny wpływ na rozwój pianistyki.

**Wracając do Fryderyka Chopina, niektórzy Niemcy**

**(najczęściej niezwiązani z muzyką) nie zdają sobie sprawy z jego narodowości i są bardzo zdziwieni dowiadując się, że był polskim kompozytorem.**

Ja mam na to świetną odpowiedź, mianowicie, że Chopin był Rosjaninem. Urodził się pod zaborem rosyjskim i opuszczał Polskę w 1830 roku z rosyjskim paszportem.

**Ale czasem i zawodowi muzycy popełniają gaffy. Christian Thielemann w swojej najnowszej książce *Meine Reise zu Beethoven* wyraża przypuszczenie, że jeżeli Chopin w ogóle znał i grywał Beethovena, to prawdopodobnie go nie cenił. Skąd taka opinia może wynikać?**

To oczywiście nieprawda, ale w Niemczech funkcjonuje jeszcze pewien stereotyp, że Chopin to kompozytor bardziej „salonowy", że jego muzyka jest „zu süß" (za słodka). Nasz festiwal służy również temu, żeby obalać podobne stereotypy.

Zapraszam serdecznie wszystkich miłośników muzyki fortepianowej do wysłuchania niestandardowego, oryginalnego Festiwalu Chopinowskiego w Hamburgu, w wydaniu specjalnym *live stream online*, z eksperymentami  i nieoczekiwanymi zwrotami programowymi.

**Dziękuję za rozmowę.**

**Program festiwalu oraz transmisje poszczególnych koncertów i warsztatów pianistycznych są dostępne na stronie internetowej: www.chopin-festival.de**

https://www.chopin-festival.de/2021.php

*

**Zobacz też:**

> Chopin odpowie miłością

# Edward Baran –

# wspomnienie

**13 lutego 1934 r., Lesko – 13 maja 2021 r., Angers (Francja)**



Edward Baran na tle swojej pracy

**Henryka Milczanowska**

*historyk sztuki, kurator*
Fundacja dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, Warszawa

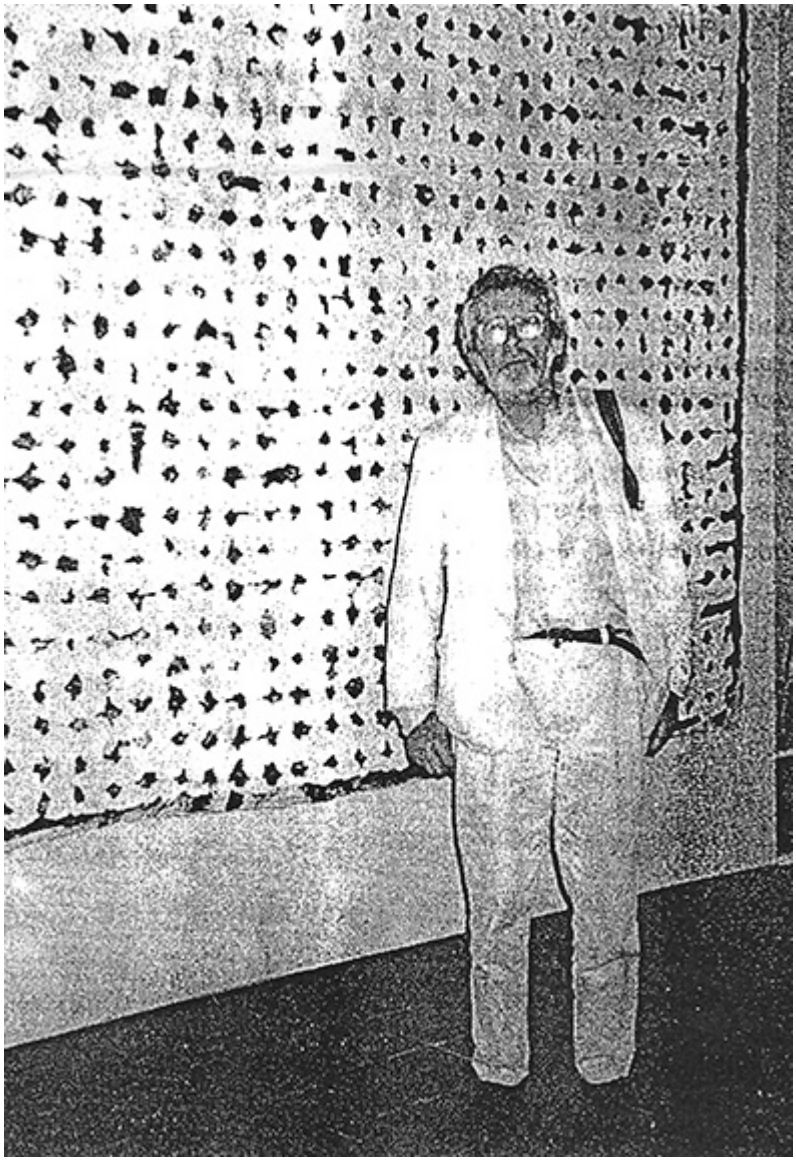
> To, co ja dzisiaj odczuwam, patrząc po latach na te moje „beztroskie papiery”,
> na te ich szlachetną beznadziejność materii, która je tworzy, to pewien żal
> za straconym czasem – przeżytym, równie „wyrwanym” w moim życiu, dla
> pewniej poetyki plastycznej i wyrazu, które wdzierają się w strefę ustalonego
> konwencjonalnego „artyzmu”, i którą tak niewiele ludzi w ogóle zauważa,
> bo zostanie po moim życiu tak mało tego „t w a r d e g o”, wiszącego na solidnym gwoździu.
>
> *
> Edward Baran, maj 2019 r.

Gdy odchodzi Artysta, zostaje po nim pusta pracownia i Jego dzieła. To bardzo dużo! Całe bogactwo świata duchowego twórcy. Materialna obecność nieobecnego.

Znaliśmy się od pierwszej wystawy, którą mu aranżowałam w

2000 roku. W Muzeum Historycznym w Sanoku. W ogromnym XVI-wiecznym zamku trwały długie przygotowania do zawieszenia Jego obrazów, w większości wielkich rozmiarów, sześć na trzy metry. Pamiętam te emocje kiedy otworzyłam pierwszy obraz, rozwinęłam rulon i poczułam, jakby runął na mnie las. Tytuł dzieła: *Czy lubicie drzewa?* Czy lubię drzewa?! Kocham ten obraz! Już wtedy to ogromne i zarazem delikatne w swej materii dzieło miało swoją ekspozycyjną, bogatą historię. Było prezentowane w 1980 roku na niezwykle prestiżowej wystawie *L'art aujourd'hui 1 (Kunst i dag 1)*, która odbyła się w 1980 roku w galerii *Ordurpgaar Samlingen* w Charlottenlund w Kopenhadze. Obok pracy Edwarda *Czy lubicie drzewa?* znalazły się tam rownież dzieła tak wówczas ważnych artystów francuskich, jak Pierre Buraglio, Jean-Michel Meurice, czy Claude Vialat. Naturalnie, po tym co zobaczyłam, czyli ponad 100 przywiezionych obrazów, byłam bardzo ciekawa Artysty! Przyjechał tuż przed wystawą i pierwsze o co poprosił, to o katalog wystawy, a w nim był mój tekst… Spacerowaliśmy po zamkowym dziedzińcu. On przeprosił, że się na chwile oddali, bo musi przeczytać na osobności. Usiadł na ławeczce, pochylony nad tekstem, czytał w skupieniu. Od tego dnia rozpoczęła się nasza długoletnia przyjaźń. Dwadzieścia lat rozmów głównie przez telefon, bogata korespondencja obfitująca w rozważania teoretyczne na temat miejsca jego malarstwa w sztuce. Było też kilka wizyt tam we Francji i tu w Warszawie. Kilka autorskich projektów wystaw w muzeach i galeriach w Polsce.

Niewątpliwie wcześniejsze wystawy w kraju, szczególnie ta w Zachęcie w 1991 roku, pt. *Jesteśmy* pozwoliła znów zaistnieć Artyście na polskiej scenie wystawienniczej. Wkrótce po niej zaproponowano mu wystawę indywidualną w Galerii Kordegarda, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a stamtąd zachęcony otwartością przyjęcia i organizacji wystaw, zwrócił się w kierunku miejsca urodzenia i nawiązał kontakty z galeriami w Polsce południowo wschodniej. I tu skrzyżowały się nasze drogi, poglądy i rozumienie sztuki, którą kreował. Po sanockiej wystawie były kolejne miejsca, Galeria STUDIO w Warszawie, Galeria Grodzka w Lublinie i one dawały nadzieję na taką samą popularność sztuki Edwarda Barana w Polsce, jaką cieszył się we Francji. W 2009 roku najbardziej jak dotąd zaangażował się w organizację wystawy w Galerii West, w Warszawie, gdzie we wspólnym udziale dzieł dwóch polskich artystek Ariki Madeyskiej i Marii Papy Rostkowskiej niemal samodzielnie zaaranżował ekspozycję, przywożąc obrazy własnym samochodem z dalekiej Francji. Emocje, zaangażowanie, wiara w sens artystycznego powrotu do kraju i chęć udowodnienia, że jestem tu, działam miało swój wielki przekaz w tytule wystawy: *Oni wybrali Paryż*. Spotkanie po latach z dawnymi kolegami, przyjaciółmi, profesorami warszawskiej Akademii, przyniosło zawód i smutek. Brak porozumienia, a nawet niezrozumienia na płaszczyźnie twórczej i osobistej spowodował ponowne oddalenie się od ojczyzny.



Edward Baran na tle obrazu „Czy lubicie drzewa”, przed wernisażem w Muzeum Historycznym, Sanok, 2000

Mijają właśnie dwa lata (2019) od ostatniej wizyty w kraju Edwarda Barana, która odbyła się przy okazji wystawy zorganizowanej we współpracy dwóch instytucji, Fundacji dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989 i Muzeum Papiernictwa w Dusznikach. Dzisiaj już wiemy, że była to ostatnia wystawa z udziałem Artysty, spotkanie z widzami, przyjaciółmi i rodziną. Takie małe pożegnanie, choć wówczas byliśmy pełni nadziei, że będą kolejne wystawy w Polsce, nowi odbiorcy, zainteresowanie

krytyki artystycznej, na której tak Artyście zależało. Krótko po tej wystawie pojawił się artykuł w „Culture Avenue”, szerzej prezentujący czytelnikom Dusznickie wydarzenie. Zawierał kilka cytowanych wypowiedzi Artysty o własnej twórczości, emigracji i wystawach, które były, a także o tych zaplanowanych, w których, jak dzisiaj wiemy, nie będzie uczestniczył.

W ostatnich kilkunastu latach, nie było nic tak świadomego w twórczości Edwarda Barana, jak poczucie uciekającego czasu, który niejako symbolicznie sam się „wplatał” w każdy kolejny nowopowstający obraz. Najbardziej było to widać w rozmiarach obrazów, były coraz mniejsze, bo dłonie były coraz mniej sprawne. Ostatecznie powrócił do klasycznego malarstwa, płótno i pędzel, jak wtedy, gdy na początku świadomie od niego odszedł – *bo taka zaistniała wtedy potrzeba, a teraz pędzel łatwiej utrzymać.*



Edward Baran i Henryka Milczanowska, 18 czerwca 2017 r.




Wernisaż w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach 2019, Edward Baran i Ewa Bobrowska

***

Historia życia tego niezwykłego twórcy, malarza – emigranta jest wciąż niedostatecznie znana w kręgu odbiorców w Polsce. Obrazy są bardziej rozpoznawalne głównie ze względu na oryginalną technikę wykonania, pojawiają się w dużej liczbie na internetowych stronach międzynarodowych galerii, w relacjach z dawnych i aktualnych wystaw w muzeach. W latach 70. i 80. kiedy kariera artystyczna i zawodowa Edwarda Barana rozwijała się z sukcesami nie potrzebował szczególnej reklamy swoich działań. Liczne wystawy indywidualne, we Francji, Danii i Szwecji, otworzyły mu drogę do najważniejszych galerii w Europie. Stabilność finansową zapewniała Szkoła Sztuk Pięknych w Angers, gdzie podjął pracę w 1979 roku, na stanowisku profesora rysunku i kompozycji. Z czasem, jak powiadał świat się zmienia, komercjalizuje, a On nie dbał o swoją medialną popularność. Wierzył, że każdy kto posiada odrobinę wrażliwości i zrozumie sens jego sztuki, znajdzie drogę do niego i do Jego pracowni. W części katalogu wystawy, pt. *W przestrzeni papieru*, w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach znajduje się *Kalendarium życia i twórczości Artysty*, w opracowaniu dr Ewy Bobrowskiej. Jest to jedyny wydany w języku polskim, tak szczegółowy opis życia Edwarda Barana z bogatym komentarzem autorki. Podczas wystawy Artysta został uhonorowany muzealnym tytułem *Ojca Sztuki Papieru w Polsce.*

*

*Cytaty pochodzą z listów i nagranych rozmów autorki z Artystą.*

---

**O wystawie Edwarda Barana w Dusznikach:**

> W przestrzeni papieru. Edward Baran.

---

# Wieczorne rozmowy z wnukami w trudnym czasie



Okładka książki Kazimierza Brauna

Nakładem Wydawnictwa 3DOM ukazała się w tym roku pozycja, która objaśnia młodemu pokoleniu tradycję i patriotyzm. Kazimierz Braun w publikacji zawarł osobiste rozmowy z wnukami, opowiada im o swoim życiu i życiu członków rodziny, kim byli i jakimi wartościami się kierowali. Autor tłumaczy, na czym polega lojalność, odwaga, miłość, rodzina i poświęcenie. To jest książka nie tylko dla dzieci, dorośli też przeczytają ją z dużym zainteresowaniem. Ważnym przesłaniem książki jest uświadomienie rodzicom, że z dziećmi, nawet tymi bardzo małymi, trzeba rozmawiać, opowiadać, kim byli przodkowie, tłumaczyć trudne sytuacje, bo przecież to dorośli kształtują nowe pokolenie. Zalew zbędnych informacji, którymi atakowany jest

młody człowiek, nie da mu oparcia, poczucia własnej tożsamości i swoich korzeni. Rodzice, często zabiegani w pogoni za przyszłością, zmęczeni codziennymi troskami, nie znajdują czasu na długie rozmowy z dziećmi. Dziadkowie są na innym życiowym etapie, więc to oni mogą się zająć edukacją swoich wnuków. Kazimierz Braun jest dramaturgiem, reżyserem teatralnym, pisarzem, a także profesorem i wykładowcą akademickim. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Wrocławskim, New York University, Uniwersytecie Kalifornijskim (w Santa Cruz) i przez wiele lat na University at Buffalo. Mimo wielu lat spędzonych na emigracji, ojczyzna i więzi rodzinne są dla niego bardzo ważne. *(Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.).*

**Kazimierz Braun** *(Buffalo)*

## PROLOG

Miałem w moim, już długim życiu, Bożą Łaskę, niezmierne szczęście i wielki przywilej opowiadania moim dzieciom i wnukom różnych historii, wspomnień, bajek. Wydobywałem je z własnej pamięci, a także z wyobraźni, z historii rodziny i kraju. Wypłacałem się w ten sposób za te dary jakimi ubogacali mnie kiedyś moi rodzice, Juliusz i Elżbieta z Szymanowskich, a także babcia Henryka Braunowa, która mieszkała latami w naszych domach rodzinnych. Dziadka Karola Brauna nie znałem. Zmarł przed moim narodzeniem. Natomiast dziadek Michał Szymanowski, w którego dworze, w Mokrsku Dolnym nad Nidą,

urodziłem się, był najpierw dla małego wnuka dalekim, wyniosłym punktem odniesienia w porządkowaniu dziecinnego świata, ale później, gdy już ograbiony przez tzw. „reformę rolną” ze swego majątku zamieszkał w jednym sublokatorskim pokoju w Kielcach, zapraszał mnie często do siebie i wtedy obdarzał mnie opowiadaniem o życiu, jakie było przed wojną – przed okupacją niemiecką i przed okupacją sowiecką, jak nazywał zaprowadzone w Polsce komunistyczne rządy.

Gdy zeszliśmy się z Zofią Reklewską, to okazało się, że pochodzimy z podobnych okolic. Ja urodziłem się w Kieleckiem, i całe dzieciństwo spędziłem w tamtych stronach, w leśnym domu w Milechowach, a ona, wprawdzie urodziła się w Warszawie, ale jako dziecko mieszkała w Sandomierskiem, w Mirogonowicach, we dworze swoich rodziców Wincentego i Anny Reklewskiej z Wasiutyńskich, przy czym jej ojciec prawie tuż po jej urodzeniu został zamordowany przez komunistycznych bandytów.

Gdy w naszym życiu małżeńskim otrzymaliśmy dar dzieci, to moje wieczorne opowiadania Monisi, Grzesiowi, Justysi stały się prawie-że niezbędnym rytuałem rytmu rodzinnego dnia, potrzebnym do tego stopnia, że gdy kroił się jakiś mój wyjazd z domu na dłużej (a to zdarzało się – teraz sądzę – zbyt często), to nagrywałem wieczorne opowiadanki  na kasetę, a Zosia odtwarzała je wieczorami dzieciom.

Lata mijały, nasze dzieci rosły. Pojawiały się ich dzieci. Siadałem przy łóżeczku małej Ani, potem małej Asi, a potem małej Anielki – córek naszej córki Moniki. Potem takie dobre chwile dane mi było dzielić z córkami naszej córki Justyny – Zosią i Lilką. Z nimi – tak się to ułożyło w naszym życiu rodzinnym – byliśmy blisko, i jesteśmy – od samego ich urodzenia, i nadal, gdy już stają się panienkami. Nadal są okazje do wieczornych, i nie tylko wieczornych, opowiadań.

Jestem wszystkim tym dzieciom niezmiernie wdzięczny, że zechciały mnie obdarzać swoją uwagą, że jakoś przydawałem się im do podciągnięcia pod brodę kołderki, poprawienia poduszeczki, wygładzenia wyobraźni rozbrykanej w ciągu dnia, przywołania w ich pobliże Anioła Stróża, ale także do wywołania z przeszłości tych, z którymi teraz nie mogą się spotkać, a którzy jednak czuwają nad ich snem.

Ta książeczka powstała z tęsknoty za takimi chwilami także przy łóżeczkach Alka i Helenki, dzieci mego syna Grzegorza i jego żony Aleksandry. Chciałbym, aby przydała się im dwojgu i ich dzieciom, a może i innym rodzicom, i innym dzieciom.

W czasie, w którym piszę te słowa – a jest to straszny i tajemniczy czas zarazy, jedni zowią go epidemią, inni pandemią, a jeszcze inni, po prostu, wojną – dorośli i starsi spędzają, nawet i przymusowo, więcej czasu w domu. Siadają wieczorami przy

małych łóżeczkach. A dzieci właśnie w takim czasie bardzo potrzebują –  nie rozumiejąc przecież, co się wokół nich dzieje – obecności, ciepła, uwagi i słowa dorosłych.

Mam nadzieję, że te wieczorne rozmowy z moimi wnukami, pozostając w kręgu historii jednej rodziny, zawierają w sobie ziarna, które można zasiać w ogrodach innych rodzin. Próbuję bowiem opowiadać nie tylko o ludziach i zdarzeniach, ale także, bardziej ogólnie, o wierności, odwadze, troskliwości, pracowitości, o bardzo prostym i oczywistym trwaniu  przy wierze, wartościach i zasadach, o pielęgnowaniu tradycji. A także, te moje opowiadanki mogą się może przydać, jako swego rodzaju mapa drogowa, która posłuży moim dorosłym czytelnikom w wyprawach szlakami ich własnej pamięci. (…)



Rzeźba dziadka z wnukiem, fot. Birkenhain z Pixabay

**ROZMOWY Z ALKIEM**

**Dzielny pradziadek Juliusz**

Tego wieczora, jak tylko usiadłem przy łóżeczku Alka, powiedziałem od razu:

– Dzisiaj, Alku, opowiem ci o twoim pradziadku. Był ojcem twojego dziadka, to jest moim ojcem. Na imię miał Juliusz. Na

drugie imię Henryk. Nazwisko nosił takie same jak ty, jak twój ojciec.

– Ja jestem Aleksander Braun. Aleksander Wincenty Braun – powiedział poważnie Alek. Ja wiem jak się nazywam. Ja to wiem bardzo dobrze.

– A on, twój pradziadek, nazywał się Juliusz Henryk Braun. Pod koniec życia był profesorem, uczył studentów, wiesz, o kimś takim mówi się „nauczyciel akademicki". Ty masz nauczycielki w przedszkolu. Teraz twoją nauczycielką jest twoja mamusia, prawda? Bo przedszkole zamknięte, więc uczysz się w domu. Zanim został nauczycielem akademickim twój pradziadek był prawnikiem. Takie uzyskał wykształcenie, to znaczy, tego się nauczył, to robił.

– Kim, dziadku, był pradziadek? Prawnikiem?

– Tak, prawnikiem. To znaczy, że znał prawo i pomagał ludziom przestrzegać prawa. Prawo mówi o tym, co wolno, a czego nie wolno. Jak ktoś zrobi coś, czego nie wolno robić, to może być postawiony przed sądem.

– To on był sędzią? – zapytał Alek. – Bo ja wiem, że w sądzie jest sędzia. I na boisku piłkarskim jest sędzia. Czy on był sędzią piłkarskim?

– On nie był sędzią. Był obrońcą. I nie na boisku, tylko w sądzie.

– Obrońcy to są na boisku – skonstatował autorytatywnie Alek. – Oni grają z tyłu, za nimi jest tylko bramkarz, a z przodu grają napastnicy. Lewandowski!

– W sądzie też są obrońcy – starałem się przekonać małego rozmówcę. – Widzisz, jak jakiś człowiek staje przed sądem, to sądzi go sędzia. Ale jest także jeden taki prawnik, mówi się o nim prokurator, który przedstawia sędziemu winy tego człowieka, oskarża go. A drugi prawnik, który nazywa się adwokat, broni go przed tymi oskarżeniami. Sędzia słucha co mówi oskarżony, co mówi prokurator, co mówi adwokat. A potem wydaje wyrok. Kiedyś będziemy musieli dłużej porozmawiać o sądzeniu, o sądach, o tym, co się nazywa „wymiarem sprawiedliwości." Często, niestety, to jest raczej wymiar niesprawiedliwości. Ale teraz powiem ci tylko, że twój pradziadek był obrońcą, adwokatem. Bronił ludzi w sądach. Pomagał ludziom w ten sposób. Żył długo. Zrobił wiele dobrego. Wiele też wycierpiał.

*Gdy to powiedziałem – natychmiast opadły mnie wspomnienia tych strasznych chwil – obrazów: aresztowanie ojca przez gestapowców; aresztowanie ojca przez ubeków; ogłoszenie wyroku na ojca – właśnie: niesprawiedliwego wyroku – przez komunistyczny sąd wojskowy; widzenia z ojcem w więzieniu. I ten moment, jak cios: siedzimy nad rzeką Wierną po kąpieli w*

*letnie popołudnie. Są rodzice, dzieci, i jest już z nami Zosia, moja młoda żona. Wszyscy jesteśmy w kostiumach kąpielowych. I ona nagle, tak po prostu, pyta ojca, z głębi swojej troski o niego i miłości do niego – nie pamiętam dokładnie jej słów – pyta o zauważone nagle blizny na jego plecach i piersiach. Pamiętam słowa ojca – krótkie, tylko informacyjne, jakby bezosobowe, jakby to nie było o nim: to z ubeckich przesłuchań na Mokotowie.*

*Nie pozwoliłem jednak swojej myśli kołatać się po tych ciemnych zaułkach. Z wysiłkiem zamknąłem wieko studni pamięci. Powiedziałem tylko:*

– Wiele mam ci, Alku, do opowiedzenia o twoim pradziadku. Jak Pan Bóg da to jeszcze znajdzie się na to czas. Dzisiaj opowiem ci jak był żołnierzem.

– Miał karabin? Ja mam pudełko ołowianych żołnierzyków – pochwalił się Alek.

– Miał karabin. Gdy służył jako wartownik. Gdy służył jako kierowca wojskowy to miał pistolet. Bo to było tak, Alku, że za jego życia były dwie wielkie wojny na świecie, w Polsce. I on, twój pradziadek, w czasie pierwszej z tych wojen był za młody, aby pójść do regularnego wojska, ale chciał walczyć o Polskę, więc zgłosił się jako ochotnik – to znaczy sam tak chciał, choć nie musiał – do harcerskiej służby wartowniczej, bo był harcerzem. I

tam dostał karabin. I był żołnierzem. A gdy wybuchła druga wojna, gdy Niemcy napadli na Polskę, to pradziadek był tym razem już za stary, aby otrzymać powołanie do wojska. Ale znów zgłosił się sam, jako ochotnik. Znów chciał walczyć o Polskę. Zgłosił się do wojska ze swoim samochodem. Ponieważ był to dobry samochód, mercedes, więc został oddany do użytku generałowi, dowódcy jednej z polskich armii. I w ten sposób twój pradziadek został kierowcą tego generała. Wtedy otrzymał pistolet.

Polska walczyła z Niemcami przez kilka tygodni. Armia tego generała wykazała się szczególnym bohaterstwem. Ale ostatecznie została otoczona ze wszystkich stron przez przeważające siły niemieckie. Generał, dowódca armii, postanowił się poddać i poddać resztki swych wojsk. To znaczy przestać walczyć, po to, aby uratować życie tych żołnierzy, którzy mu jeszcze pozostali. Wszyscy dostali się do niewoli – wszyscy żołnierze, generał, a także jego kierowca, twój pradziadek.

Niemcy urządzili dla nich wszystkich prowizoryczny obóz jeniecki na jakiejś wielkiej łące. Wyobraź to sobie: wielka łąka, a na niej stoi wiele polskich, wojskowych samochodów osobowych i ciężarowych rozrzuconych chaotycznie, w tym mercedes twego pradziadka. Na łące kłębią się grupami i pojedynczo polscy oficerowie i żołnierze – bez broni. Bo są jeńcami. Łąka otoczona

jest drutem kolczastym umocowanym do świeżo wbitych w ziemię drewnianych palików – tak jakby to było wielkie pastwisko. Tylko, że zamiast bydła są na nim ludzie. Poza drutami, na zewnątrz, rozsiane są gęsto niemieckie posterunki z ciężkimi karabinami maszynowymi wycelowanymi w łąkę, w tych ludzi. Na zewnątrz drutów przechadzają się niemieccy wartownicy. A za nimi, tworząc ogromny pierścień, stoją niemieckie czołgi z lufami także wycelowanymi na tych ludzi. Opowiadałem ci kiedyś, Alku, o czołgach rosyjskich, które podpełzały do naszego zimowego lasu pod koniec tej właśnie wojny. A to, co ci teraz opowiadam, wydarzyło się na jej początku, a czołgi były niemieckie. Sytuacja, zdawałoby się, bez wyjścia. Wszystkich jeńców czekała niewola.

Twój pradziadek był jednym z jeńców. Swój pistolet musiał oddać Niemcom. Ale od samego momentu uwięzienia myślał o ucieczce. O wydostaniu się na wolność. Nie godził się na niewolę. Był człowiekiem przedsiębiorczym, sprytnym i odważnym. Chodząc w ciągu dnia po otoczonej przez Niemców łące, zauważył jakąś większą przerwę między niemieckimi posterunkami i czołgami. Postanowił uciec – wyczołgać się w nocy z obozu jenieckiego. Był kiedyś harcerzem – w harcerstwie nauczył się czołgać.

Wiesz, co to jest czołganie się, prawda, Alku? Szorujesz brzuchem po trawie, po piasku, czy nawet kamieniach, podciągasz się ku przodowi tylko rękami i cały czas uważasz,

żeby być jak najbliżej ziemi.

Więc pradziadek czekał w tym miejscu do nocy. Chciał się wyczołgać pod osłoną ciemności. Wszyscy jeńcy poukładali się po prostu na ziemi, żeby się jakoś przespać. Zapadła ciemność. Pradziadek czuwał i już miał rozpocząć swoją próbę ucieczki z obozu, gdy nagle zaryczały motory czołgów stojących dookoła obozu i zapaliły się ich reflektory oświetlając całą łąkę. Były jednak pomiędzy tymi reflektorami smugi cienia. Choć ucieczka w tych warunkach była naprawdę bardzo ryzykowna, pradziadek zaczął się czołgać – najpierw pod drutami kolczastymi, potem między niemieckimi wartownikami, potem między niemieckimi czołgami. Czołgał się bardzo długo. Wreszcie zostawił Niemców za sobą.

W jakichś krzakach zdjął kurtkę munduru i wepchnął ją pod liście. Zachował jednak portfel – wiesz, twój tatuś też ma taki portfel z dokumentami, z pieniędzmi. Pradziadek nie wyrzucił portfela, bo miał w nim dużo pieniędzy i swoje dokumenty, choć złapany przez Niemców, byłby natychmiast zidentyfikowany w oparciu o te dokumenty. Ale i pieniądze, i dokumenty, mogły mu być potrzebne w dalszej drodze ucieczki.

Więc twój pradziadek najpierw długo się czołgał, a potem szedł kilka kilometrów przez las, aż doszedł do jakiejś wsi. Był środek nocy. Zastukał do pierwszego z brzegu domu. Nikt nie chciał mu

otworzyć. Szepcząc przez drzwi, przekonał jednak gospodarza, że jest polskim żołnierzem, który uciekł z niemieckiej niewoli i potrzebuje pomocy. Wreszcie drzwi się otwarły. Pradziadek poprosił gospodarza, żeby mu sprzedał spodnie, buty i sweter. Przydały się zachowane pieniądze. Zapłacił hojnie. Przebrał się, zostawiając swoje spodnie wojskowe, które tamten mężczyzna natychmiast spalił w piecu kuchennym.

Pradziadek dopytał się jeszcze tego człowieka o najbliższy kościół parafialny. Poszedł we wskazaną mu stronę. Dotarł pod plebanię o świcie. Przedstawił się księdzu proboszczowi, który przyjął go z wielką troskliwością i serdecznością. Pradziadek zaproponował temu księdzu kupno swego samochodu, który wciąż stał przecież w obozie jeniecki, za drutami – jeśli uda się go wydostać. Ksiądz przyjął propozycję. Ustalili jak to zrobią. Już zaczęli walczyć z Niemcami metodami konspiracyjnymi. Ksiądz da pradziadkowi dokumenty, które powinny zmylić Niemców, a pradziadek pójdzie po swój samochód i wydostanie go z obozu jenieckiego. Ryzykowny plan.

Ksiądz dał więc pradziadkowi, napisany po niemiecku dokument, stwierdzający, że samochód, mercedes, numer rejestracyjny taki i taki, należy do niego, i że stał w miejscu, gdzie wojsko niemieckie zorganizowało obóz jeniecki, bo akurat tam zabrakło benzyny. To akurat było prawdą – bak mercedesa był pusty. Więc ksiądz prosi w swym liście władze obozu, aby wydały samochód

jego kierowcy, który nazywa się tak a tak (nie pamiętam jakie tam podano imię i nazwisko) i zaopatrzył pradziadka dodatkowo w sporządzony na prędce akt chrztu tego niby – kierowcy, jako legitymację tożsamości.

Ksiądz dał mojemu ojcu, a twemu pradziadkowi, dwa konie ze swojej stajni, postronki i orczyki. Pobłogosławił pradziadka na drogę. Pradziadek zostawił księdzu swój portfel – teraz nie mógł go mieć przy sobie. Dał mu także adres swojej żony, z prośbą, aby ksiądz napisał do niej, na wypadek gdyby on sam nie wrócił z wielce ryzykownej wyprawy.

Pradziadek poszedł z końmi do obozu jenieckiego. Daleka droga. Przy bramie pokazał sporządzone przez księdza dokumenty dowódcy warty i wytłumaczył mu po niemiecku, dokładnie, ze szczegółami, tak, aby tamten zrozumiał swym, zapewne tępym umysłem, że przysłał go ksiądz proboszcz po swój samochód, który stoi tu od kilku dni, bo zabrakło benzyny, a potem wojsko niemieckie zorganizowało nagle w tym miejscu obóz jeniecki. Twój pradziadek mówił świetnie po niemiecku, bo urodził się i chodził do szkół pod zaborem Austriackim, a Austriacy mówią po niemiecku. O, i o tym, co to były zabory, też muszę ci, Alku, kiedyś opowiedzieć. Nie teraz. Teraz wracam do opowieści o twoim pradziadku.

Dowódcę warty przekonuje jego opowieść i okazane dokumenty.

Przywołuje wartownika i każe pradziadka wpuścić do obozu.

Pradziadek odszukuje samochód. Zaprzęga konie do przedniego zderzaka. Trzymając lejce w lewej ręce przez opuszczone okienko i prawą kontrolując kierownicę wyjeżdża na obozową drogę. Zbliża się to tej samej budki wartowniczej i tej samej bramy, którą wszedł. Stoi tam ten sam wartownik, który go wpuścił. Macha ręką i twój pradziadek wyjeżdża z obozu ciągnionym przez konie mercedesem! Udało się!

Pradziadek jedzie długo, polną drogą, ku kościołowi. Ksiądz otwiera mu stodołę. On wjeżdża tam, wciąż ciągniętym przez konie, samochodem. Drzwi stodoły zostają zamknięte.

Na plebanii ksiądz proboszcz wypłaca pradziadkowi umówioną sumę za samochód. Była znaczna – stanowiła podstawę życia rodziny przez pierwsze miesiące wojny. Ksiądz daje jeszcze pradziadkowi na dodatek dobre cywilne ubranie. Książeczka wojskowa wędruje do pieca kuchennego. Z plebanii ojciec wychodzi już jako cywil, doktor Juliusz Braun, adwokat. Ma przy sobie swoje stare, polskie dokumenty.

Z tymi dokumentami wrócił z wojny do domu. Nie tylko uciekł z niewoli, ale i wydostał swój samochód.

Twój pradziadek, Alku, to był wspaniały, dzielny, zaradny

odważny człowiek.

*Gdy, sam zemocjonowany, kończyłem opowiadać Alkowi o jego dzielnym pradziadku, zobaczyłem, że chłopiec już zasnął. To i dobrze. Po to snułem te opowieści.*

*Pomyślałem jednak, że może Alek zapamięta choć część tej historii. I kiedyś uświadomi sobie, że wzorem swego pradziadka, powinien szukać wyjścia z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji, nie poddawać się, a zwłaszcza nie godzić się na jakikolwiek rodzaj niewoli.*

---

**Zobacz też:**

> „Pamięć”. Wspomnienia Kazimierza Brauna.

> Wielkanoc w mirogonowskim dworze

> Boże Narodzenie w Mirogonowicach

# „Bal w operze” Juliana Tuwima wystawiony przez Teatr Nasz w Chicago

**Małgorzata Oman** *(Chicago)*



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki

**Andrzej Krukowski,** aktor, reżyser i dyrektor artystyczny Teatru Nasz, nie boi się szokować i nie cofa się przed mocnymi środkami wyrazu.

To myśl, która zdominowała moje wrażenia po obejrzeniu spektaklu “Bal w operze”,  wystawionego po raz kolejny przez Teatr Nasz na scenie *Leela Art Center* w Des Plains, jednym z przedmieść Chicago, w pierwszy weekend maja.

Bo po zobaczeniu “Balu w operze” Tuwima w wykonaniu Teatru

Nasz, można wyjść lekko zaszokowanym lub przynajmniej zaskoczonym ilością i intensywnością scen seksu.  To refleksja, do której skłoniły mnie nie tylko moje odczucia, ale i podsłuchana w kuluarach teatru wymiana zdań. A jednak osoby, których uwaga skupi się tylko na tym co poraziło ich poczucie przyzwoitości i dobrego smaku, przeoczą wiele innych obrazów, czy scenicznych rozwiązań, które weszły w skład tego spektaklu i doskonale dopełniły tekst Juliana Tuwima. Sceny te, równie intensywne, powodowały refleksję, wzdrygnięcie albo ucisk w gardle na przypomnienie kart historii, które były udziałem naszego narodu. Zresztą, intensywność spektaklu odzwierciedla intensywność tekstu.

Napisany w 1936 roku przez Juliana Tuwima poemat “Bal w Operze”, wywołał mocne reakcje wśród jego odbiorców.  Był tak kontrowersyjny, że w całości mógł ukazać się dopiero w 1982 roku.  Tekst szokował językiem, skrajnymi emocjami oraz silną antyrządową wymową.

Dziś, mało osób zdaje sobie sprawę z tego, że to właśnie Tuwim zaczął pisać na tematy, które choć obecnie wydają nam się normalne, wtedy daleko wykraczały poza granice przyzwoitości – seks, ciało, fizjologia, czy banalne sytuacje z codziennego życia, kiedyś nie były typowe dla poezji. Tuwim był w tym względzie zdecydowanie nowatorem. Silne emocje zawarte w poemacie to ironia, sarkazm, gorycz, jak również sardoniczny śmiech, który

ukrywa rozpacz. Uczucia te, obnażają odrazę i obrzydzenie jakie budziła w poecie ówczesna mu rzeczywistość. Rosnąca dyktatura sanacji, faszyzacja życia oraz wzmagające się ataki antysemickie, nie pozostawiały Tuwimowi wątpliwości co do kierunku w jakim zmierzał świat, który go otaczał. Niezwykle wrażliwy poeta, który czuł się i Żydem i Polakiem, bardzo dotkliwie odczuwał ataki na swoją osobę, a były one często bezlitosne. Jak Teatr Nasz poradzi sobie z tym tekstem, co z nim zrobią, jak "wygrają" te wszystkie elementy – myslalam jadąc na spektakl.

Przy wejściu na salę, dostaję dyskretnie podany program, zwinięty w rulonik, związany sznurkiem i opatrzony napisem "Ściśle tajne".  Poddaję się atmosferze, widzę okna kamienic, szyldy ogłaszające usługi – golenie, strzyżenie, przewieszone na sznurku, suszące się czyjeś pranie.  Jestem gotowa, ale spektakl nie zaczyna się od razu. Rośnie oczekiwanie podsycane pojawiającą się co chwila kobietą w czarnym, skórzanym kostiumie, która władczym gestem strzela z bata, jakim tresuje się dzikie zwierzęta. Nie ma wątpliwości, jesteśmy pod nadzorem.



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki

Jedną z pierwszych scen zbiorowych otwierających spektakl, które zostają w pamięci, tworzy upozowana na wzór „Ostatniej Wieczerzy” Leonarda da Vinci grupa – tyle, że w samym środku, miejsce Chrystusa zajmuje uzurpator, kabotyn, ktoś komu się tylko wydaje się że jest bogiem. To znak czasów, to wszystko co pozostało z chrześcijańskich wartości naszej kultury.

Wreszcie zaczyna się bal, bal w operze…

Podniecenie, ekscytacja, rozochocenie, inwigilacja, seks, rozedrganie, chaos, wibracja, seks, antysemityzm, inwigilacja, pieniądze, nierząd, inwigilacja, ideologia, agitacja, faszyzm, komunizm, przemoc, destrukcja.

Czytany jako poemat, utwór Tuwima ma własne tętno, rytm, dynamikę. Ten rytm daje wrażenie szaleńczej wibracji, wrzenia. Reżyser jednak rezygnuje z rytmu narzuconego tekstem na korzyść obrazów.

Podekscytowana grupa dyskutuje o przygotowaniach do balu, wystrojone damy, nastroszone kokoty, trzęsące się z ekscytacji dziwki, trwa podniecenie, orkiestra gra, zjeżdżają się goście i nie ustaje ciągła inwigilacja. Po chwili obserwujemy pędzącą machinę historii. Z czasem, sceny targowiska próżności zastępują sceny z życia szarych ludzi.

Przejście od jednego do drugiego obrazu oraz przebieranie aktorów odbywa się przy odsłoniętej kurtynie na scenie, tu nie ma nic do ukrycia, tu nie ma na co czekać, historia toczy się na naszych oczach.

Tuwim przeczuwał nadchodzącą katastrofę, nie mógł jednak wiedzieć, pisząc poemat w 1936 roku, jakie dokładnie będzie jej

oblicze i jaki będzie jej wymiar. Reżyser spektaklu wie, więc w swych obrazach posuwa się dalej.

Podium na środku sceny, które posłużyło na początku za stół do ostatniej wieczerzy, zamienia się w platformę pociągu wiozącego zmęczonych ludzi. Potem stanie się podwyższeniem, na którym wykonywane będą egzekucje, za którymi stoją dwaj najwięksi oprawcy XX wieku. Tych, którzy nie tak dawno zaaferowani byli balem lub codziennymi sprawami, widzimy teraz gotujących się na śmierć. Każdy reaguje w tym momencie inaczej.  Jedni się modlą, drudzy całują zdjęcia bliskich, jeszcze inni idą spokojni i pogodzeni na spotkanie ze swoim losem. Nieco później platforma stanie się trybuną, z której przemówią dyktatorzy i skąd wykrzykiwane będą nowe hasła. Na koniec, podium będzie katafalkiem, na którym ułoży się “tłusty jaszczur”, uzurpator, kabotyn.

Kilkakrotnie jeszcze w czasie spektaklu, my, widzowie, jesteśmy wciągnięci do akcji.  Chwytamy rozrzucane ulotki, jesteśmy zaagitowani do wspólnego chóralnego krzyczenia – IDEOLO, IDEOLO.

W końcu, po intensywnym napięciu, następuje przesilenie. To scena w białych kaftanach z domu wariatów i różne reakcje tych, którzy przeszli przez piekło.  Zauważalne jest też prawdziwe fizyczne zmęcznie aktorów, którzy dali z siebie wszystko.



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki

Sztukę zamknie opadająca czerwona flaga. Czerwona, ale w połowie zamalowana na biało. Możemy zauważyć pociągnięcia pędzla.  Na fladze napis:

KOCHANEJ OJCZYŹNIE

100 LAT

RODACY

Napięcie puszcza, zostaje nagromadzenie wrażeń, obrazów i odczuć, które trzeba będzie sobie poukładać.

***

Po zakończeniu sztuki udało mi się na chwilę porozmawiać z reżyserem, Andrzejem Krukowskim. – *Aby stworzyć spektakl musisz być otwarty, tu nie można nic zakładać z góry, bo spektakl stopniowo rodzi się sam* – mówi Krukowski.

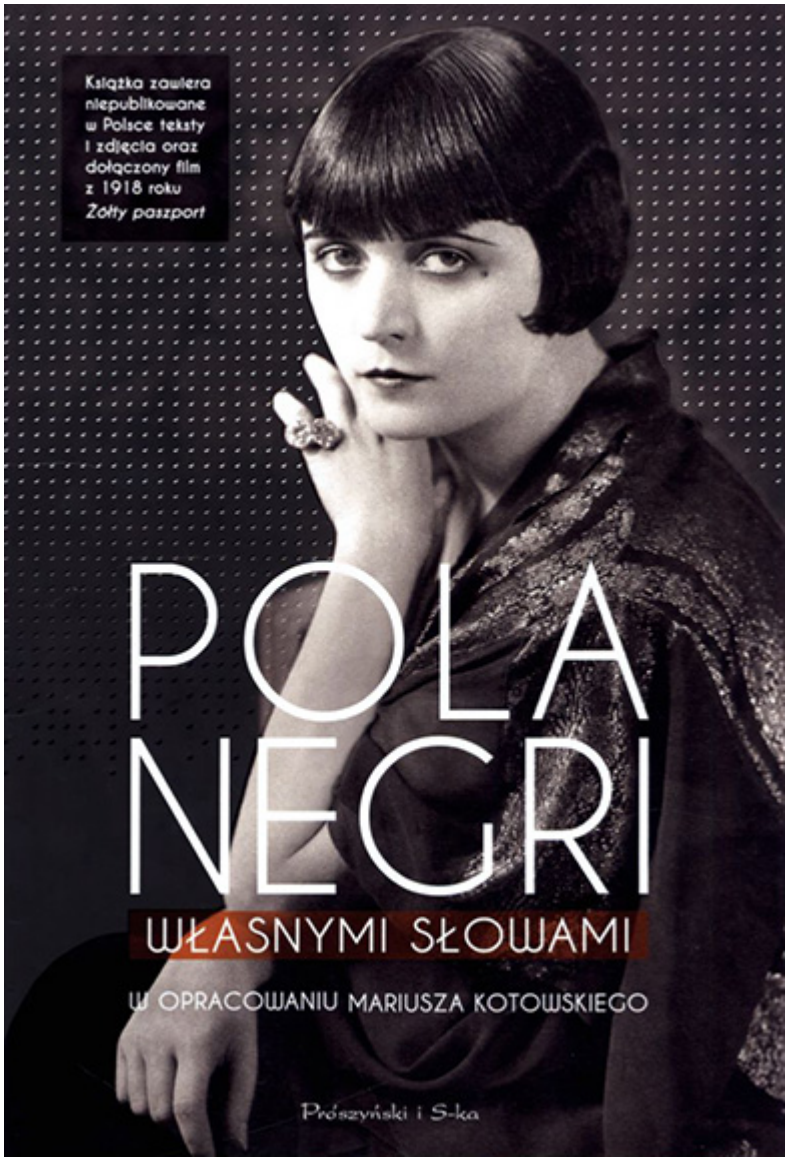
Kiedy gratuluję mu pomysłowości, odpowiada, – *Zazwyczaj pomysły przychodzą do mnie nad ranem. Przez cały dzień obcowania z tekstem, przetwarzam go w sobie i nad ranem jakoś to ze mnie emanuje*. Po czym dodaje skromnie, – *To wszystko to moja grupa, ja tylko się tu przemykam, ja się ogromnie dużo od nich uczę*. Na pytanie jak udało mu się stworzyć tak świetny zespół, reżyser odpowiada, – *Ufamy sobie, to podstawa aby się przed sobą otworzyć. Wtedy można dać z siebie wszystko.*

To, że zespół daje z siebie wszystko od pierwszej do ostatniej odsłony, nie ma dla mnie wątpliwości, Energia, którą czuje się ze sceny elektryzuje.

**Zobacz też:**

> “Kwartet dla czterech aktorów” wystawiony przez TEATR NASZ z Chicago

# Pola Negri i Charlie Chaplin




**Pola Negri, „Własnymi słowami”, wyd. Prószyński i S-ka, 2014 r, oprac. Mariusz Kotowski, fragmenty.**

Na książkę składają się w większości niepublikowane w Polsce – autobiograficzne artykuły prasowe, eseje i opowiadania, które obok autobiografii zalicza się, do dorobku literackiego Poli Negri. Książka jest wzbogacona szczegółowym kalendarium życia aktorki i wyjątkową kolekcją zdjęć. Całość opracował i przygotował badacz życia i twórczości Poli Negri – Mariusz Kotowski.

*

Charliego Chaplina poznałam już w pierwszy wieczór jego pobytu w Berlinie. Przedstawiono mi go podczas przyjęcia, w którym wraz z przyjaciółmi — Albertem Kaufmanem i jego żoną — uczestniczyłam tego wieczoru w modnej berlińskiej restauracji o nazwie Palais Heinroth. Mimo że nazwisko Chaplin obiło mi się wcześniej o uszy, nie zdawałam sobie do końca sprawy z pozycji tego aktora w świecie kinematografii, nie widziałam też żadnego z jego filmów. W czasie wojny w Berlinie nie wyświetlano amerykańskich produkcji, Chaplin nie był więc w Niemczech szczególnie znany, podobnie jak inne gwiazdy zza oceanu. Ale jako że podsumował on moje osiągnięcia zawodowe długą listą komplementów, nie chcąc pozostawać dłużna, odparłam, że uważam go za jednego z największych artystów na świecie, w duchu gratulując sobie sprytu i dyplomacji. Dopiero później się dowiedziałam, że i Charlie skorzystał z tych samych przymiotów, bo kiedy mnie poznał, nie widział ani jednego z moich filmów!

Pan Chaplin jest obdarzony czarującą osobowością. Cechują go chłopięcy urok i entuzjazm, posiada też cudowny dar prowadzenia konwersacji. Spotkaliśmy się na kilku przyjęciach i miałam przyjemność zobaczyć, jak wciela się w role kilku różnych osób. Nigdy tak naprawdę nie przestaje grać, nigdy nie rezygnuje z okazji, by oddać się naśladownictwu lub parodii.

Nasza znajomość w Berlinie miała charakter dość luźny i daleko jej było do romantyzmu. Podziwiałam Chaplina jako osobowość i artystę, muszę jednak przyznać, że wtedy każdy poznany Amerykanin miał dla mnie nieodparty urok. Powodem ku temu był przede wszystkim ich pełen szacunku stosunek do kobiet, jakże odmienny od reprezentowanego przez Europejczyków. Amerykańscy dżentelmeni traktują każdą kobietę niczym królową. Jakże miałabym ich nie lubić?

Po czasie dowiedziałam się, że sposób, w jaki powitałam sławnego pana Chaplina, rozbawił amerykańską prasę. Mianowicie zużyłam na niego całą wyszukaną angielszczyznę, jaką wówczas dysponowałam, zwracając się do niego per „mój mały jazzboy Charlie". On zaś, pragnąc sprawić mi komplement po niemiecku, zapytał pana Kaufmana, jak wyznać: „Uwielbiam cię", po czym zwrócił się do mnie słowami: „Przypominasz mi ser". Jego impertynencja wprawiła mnie w osłupienie i oburzenie… Charliego natomiast w jeszcze większe zdumienie wpędziła moja reakcja na jego szczery komplement. Dopiero na widok rozbawienia, jakie zapanowało wśród naszych wspólnych znajomych, oboje zrozumieliśmy, że padliśmy ofiarą żartu – pan Kaufman celowo wprowadził biednego Charliego w błąd, podpowiadając mu nie te słowa!

Wypadki te zdarzyły się w czasie, kiedy ze strony niemieckiej prasy płynęła pod moim adresem lawina krytycznych słów. Moje

polskie sympatie były oczywiście powszechnie znane, a w powojennych Niemczech Polacy byli drugą – zaraz po Francuzach – najmniej łubianą nacją. Na wieść o tym, że finansowo wspieram polskie organizacje, niemiecka prasa zaczęła mnie otwarcie atakować, ogłaszając, że zarabiam pieniądze w Niemczech, aby wspierać niemieckiego wroga – Polskę. Na próżno starałam się tłumaczyć, że środkami tymi wspierałam nie polską armię, tylko organizacje charytatywne, którym pomagałam na równi z niemieckimi. Zewsząd otaczał mnie brak zrozumienia, co sprawiało mi ogromną przykrość, bo niezwykle ceniłam sobie wsparcie ze strony niemieckiej prasy. Jednocześnie uważałam jednak, że mam prawo wydawać swoje pieniądze w każdy sposób, jaki uznam za stosowny.

Być może wykazałam się w całej tej sytuacji brakiem taktu, jednak bez względu na wszystko nie mogłam dłużej znieść wrogości, z jaką spotykałam się w Berlinie, przeniosłam się więc do kamienicy, którą zakupiłam w Bydgoszczy. Tu zgotowano mi przyjęcie tak serdeczne, że w mig zapomniałam o wszystkich zmartwieniach. Największe datki kierowałam wszak właśnie do Bydgoszczy, gdzie zorganizowałam sierociniec dla polskich dzieci.

Pierwsze pieniądze, jakie zarobiłam po podpisaniu kontraktu w Ameryce, przeznaczyłam na opiekę nad dwustoma sierotami wojennymi. Był to naprawdę niewielki gest, zważywszy na ogrom

pomocy, jaką Amerykanie przekazali moim pokrzywdzonym przez los rodakom. Sierociniec na terenie mojej posiadłości wciąż istnieje, a pieczę nad nim sprawuje moja matka.



Pola Negri i Charlie Chaplin, Berlin, 1922 r., fot. wikimedia commons

(…)

„Będę na ciebie czekał w Hollywood”, obiecał Charlie Chaplin swoim przedziwnie ciepłym głosem. Ja zaś mogłam mieć tylko

nadzieję, że los, który splótł nasze ścieżki, ulituje się nade mną i nie zerwie zaklęcia, jakiemu oboje ulegliśmy, zanim uda mi się tam dotrzeć.

Mój kontrakt z wytwórnią Paramount wyraźnie stwierdzał, że w Hollywood znajdę się dopiero za sześć miesięcy, obiecałam więc sobie solennie, że póki co zrobię wszystko, aby nie myśleć o Charliem. W końcu tyle rzeczy mogło się wydarzyć w życiu dwojga ludzi, których dzieli nie tylko ocean, lecz także szerokość kontynentu — tłumaczyłam sobie.

I tak się stało. Charlie wrócił do domu. Nie miałam z nim bezpośredniego kontaktu, słyszałam jednak, że wraz z Mary Pickford, Douglasem Fairbanksem i D.W. Griffithem stworzył wytwórnię United Artists, dla której intensywnie pracował.

(…)

Moje życie stało się snem, z którego nie chciałam się obudzić. Przydzielono mi sekretarkę i kilka służących. Zamieszkałam w niesamowicie luksusowym bungalowie na terenie sławnego hotelu Ambassador.

Gdy pokojówki przygotowywały dla mnie kąpiel i rozpakowywały moje dwadzieścia siedem kufrów, pojawiła się sekretarka z informacją, że wieczorem mam wystąpić w kostiumie Kleopatry

w Hollywood Bowl przed publicznością liczącą dwadzieścia tysięcy osób! Gwiazdy zgromadziły się tej nocy, by w widowisku charytatywnym wcielić się w role sławnych postaci historycznych. Po paradzie miałam wziąć udział w kolacji w Cocoanut Grove wydanej na moją cześć przez George'a Fitzmaurice'a, który miał być reżyserem „Bella Donny" oraz jego żonę Ouidę Bergere, scenarzystkę i jedną z najznamienitszych gospodyń w Hollywood. Najwyraźniej całe moje życie towarzyskie zostało już zaplanowane.



Pola Negri z reżyserem George’em Fitzmaurice’em podczas kręcenia filmu „Bella Donna”, Los Angeles 1923, fot. ze zbiorów Mariusza Kotowskiego, stanowi część ikonograficzną książki „Własnymi słowami”
Ale ja chciałam wiedzieć tylko jedno. „Powiedz mi, czy Charlie Chaplin pojawi się dziś na paradzie w Hollywood Bowl?”, przerwałam rozgadanej dziewczynie.

Jego nazwisko padło wtedy z moich ust po raz pierwszy i zauważyłam, że na jego dźwięk oczy mojej sekretarki rozbłysły przedziwnym blaskiem. Widziałam już ten błysk w oczach innych kobiet, pojawiał się on jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, kiedy ktoś wymówił słowo „Chaplin”.

„Charlie Chaplin nie ma w zwyczaju pojawiać się publicznie”, odpowiedziała sekretarka. „A czy jest zaproszony na kolację, jaką wydają dla mnie państwo Fitzmaurice?”, chciałam wiedzieć. „Ależ skąd! Wiadomo przecież, że Chaplin nigdy nie bierze udziału w przyjęciach ani w żadnych spotkaniach towarzyskich”. Westchnęłam tylko, bo znów nie usłyszałam odpowiedzi, której pragnęłam.

(…)

W świetle kalifornijskiego słońca wszystko w Hollywood wydawało mi się jakby nierzeczywiste. Przemierzając szeroki

bulwar w przysłanej przez studio limuzynie z szoferem, przyglądałam się migającym po obu stronach strzelistym palmom, mijając bary mleczne, gigantyczne reklamy filmów i stoiska ze świeżym sokiem pomarańczowym. Pogrążona w lekkim oszołomieniu, zastanawiałam się, co przyniesie wieczór.

Odpowiedź otrzymałam szybciej, niż się spodziewałam. Nagle bowiem usłyszałam huk i poczułam gwałtowny wstrząs. Samochód, którym jechałam, zderzył się z innym!

Kiedy szofer opanował pojazd i zatrzymał się na poboczu, zszokowana, usiłowałam otworzyć drzwi, aby wydostać się na zewnątrz. Zanim jednak zdążyłam sięgnąć do klamki, drzwi rozwarły się na całą szerokość i usłyszałam męski, dziwnie znajomy głos: „Czy nic się pani nie stało?".

„Charlie? Charlie Chaplin!", krzyknęłam. „Polu, to ty?", zapytał, wspinając się na siedzenie obok mnie. „To naprawdę ty! Czy nic ci się nie stało?" „Nie". „Dzięki Bogu! Słyszałem, że przyjechałaś, i miałem nadzieję, że wkrótce się spotkamy!" Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. „Czekałeś? Tak jak mówiłeś? Ależ oczywiście… naturalnie, że wiedziałeś". Ta sytuacja była tak nierealna, że czułam się tak, jakbym śniła na jawie.

Samochodem Charliego dojechaliśmy do Hollywood Bowl. Tam Chaplin, stojąc z boku, obejrzał mój pierwszy hollywoodzki

występ przed tysiącami zgromadzonych.

Z widowni wciąż dobiegały wiwaty, kiedy Charlie złapał mnie za rękę. Zanim szefowie studia zdążyli podejść, by przywitać się ze mną, wyszeptał mi do ucha: „Wymknijmy się stąd". „Ale ja muszę jechać do Cocoanut Grove", zaoponowałam. „Wiem. Zabiorę cię tam. Najpierw muszę jednak z tobą porozmawiać".

Dzięki jego doskonałej umiejętności unikania tłumów wkrótce znaleźliśmy się w samochodzie Charliego. Jadąc wijącą się wśród wzgórz drogą, patrzyłam na ogromny kalifornijski księżyc i próbowałam w myślach nazwać emocje, które wypełniały w tej magicznej chwili moje serce. Byłam jak zahipnotyzowana przez tego mężczyznę o melodyjnym głosie, którego ramię delikatnie dotykało mojego – mimo że był on całkowitym przeciwieństwem typu mężczyzny, który mnie zwykle pociągał.

Za atrakcyjnych zawsze uważałam mężczyzn wysokich i barczystych. Charlie był niski, drobnej budowy – a jednak czułam, że poruszył we mnie jakąś wyjątkową strunę. Wydawało się, że każda spędzona ze mną chwila jest niczym pokarm dla jego wygłodzonego serca.

Charlie nie przestawał mówić. Dowiedziałam się, że ktoś zranił go głęboko i że próbował teraz znaleźć lek na swój ból. „Ty jesteś tym lekiem. Wiedziałem to od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz

pierwszy”, wyznał, a ja poczułam, że moja obecność w jego życiu jest nieodzowna. Pławiłam się w magicznym cieple jego uwielbienia, gdy jechaliśmy przed siebie, aż w końcu się zorientowałam, że zupełnie zapomniałam o moim przyjęciu!

„Zawracaj!”, krzyknęłam nagle, wracając do rzeczywistości. „Już dawno powinnam być na przyjęciu!”. Ale mój towarzysz upierał się przy swoim: „Dziś wieczorem chcę cię tylko dla siebie. Nie chcę dzielić się tobą z całym Hollywood!”. Gdy byłam nieprzejednana, spojrzał na mnie pełnym bólu wzrokiem, jakby chciał zapytać: „Nie wystarczy ci moje uwielbienie? Naprawdę chcesz wrócić do świata, chociaż pokazałem ci raj?”.

Przez moment zaczęłam się zastanawiać, czy słusznie robię, starając się, by mój pobyt w Hollywood zaowocował czymś więcej niż tylko miłością tego mężczyzny. Zdążyłam już zdać sobie sprawę z tego, że Charlie jest we mnie zakochany, a świadomość, że jakaś inna osoba czy nawet grupa osób mogła być dla mnie interesująca, sprawiała mu przykrość i wpędzała w podły nastrój. Cała ta sytuacja była dla mnie tak samo nowa i nierealna jak samo Hollywood.

Do Charliego nie przemawiały jednak żadne argumenty. Powołałam się na to, że czeka na mnie wiele osób, że na tym polega dotrzymywanie zobowiązań, że studio wymaga, bym postępowała zgodnie z przyjętym dla mnie planem. Ale dla

Charliego żaden z tych powodów nie był dostatecznie ważny.

„Przykro mi, że tak to postrzegasz” – tak brzmiała jego odpowiedź na każdy z moich argumentów. W jego głosie słychać było autentyczny ból; dalej jechał przed siebie, lecz z każdą milą zwalniał.

Nagle na boczne stopnie samochodu Charliego naskoczyło z pobocza dwóch mężczyzn. Jeden z nich wycelował w niego pistolet, a drugi sięgnął ręką do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce, wyłączając silnik. Pojazd się zatrzymał. Trzymając tym razem mnie na muszce, napastnicy wyciągnęli Charliego z samochodu i zaczęli obszukiwać. „Gdzie masz pieniądze?”, rzucił jeden z bandytów. „Nie mam przy sobie żadnych pieniędzy”, odpowiedział Charlie. „Przecież ty jesteś ten sławny Chaplin! Podróżujesz w towarzystwie damy i nie masz przy sobie żadnych pieniędzy? Dalej, załatwmy go”, warknął drugi mężczyzna. Widząc, jak uniesiona lufa pistoletu zbliża się do głowy Charliego, krzyknęłam przeraźliwie. Niewiele myśląc, wyciągnęłam przed siebie moją wieczorową torebkę, do której służąca włożyła zielone banknoty w kwocie pięćdziesięciu dolarów.

Podziałało.

Kiedy napastnicy zniknęli ze swoim łupem, Charlie zapewnił

mnie o swojej dozgonnej wdzięczności i stwierdził, że to zdarzenie jeszcze bardziej zbliżyło nas do siebie. Okazało się, że rzadko nosił przy sobie gotówkę, wolał korzystać z czeków. Wyjaśnił mi ten osobliwy zwyczaj, zawracając samochód w stronę miasta. Bez dalszych dyskusji zawiózł mnie prosto do Cocoanut Grove.



Pola Negri i Charlie Chaplin, fotografia prasowa 1923 r., fot. ze zbiorów Mariusza Kotowskiego

Siedząc obok niego, cały czas miałam poczucie, że znajduję się w

towarzystwie rozczarowanego, aczkolwiek bezgranicznie wdzięcznego mi małego chłopca. Kiedy weszliśmy razem do ogromnej sali jadalnej, z zażenowaniem zdałam sobie sprawę z tego, że Charlie nie ma zamiaru przeprosić za nasze spóźnienie ani tym bardziej wyjaśnić jego przyczyn. Zakłopotana całą sytuacją, odnalazłam wzrokiem czekające na mnie puste miejsce za ogromnym stołem i skierowałam się w tamtym kierunku, czując na sobie setki zaciekawionych oczu.

George Fitzmaurice milczał z wyraźną dezaprobatą. Charlie chyba wyczuł, że potrzebuję, by ktoś dodał mi otuchy, bo usiadł obok i zwrócił się do mnie głosem cieplejszym niż dotychczas: „Jesteś jedyną kobietą na całym świecie, dla której gotów jestem tu zostać. Nigdy nie bywam na salonach. Dziś wieczorem wyszedłem z domu tylko po to, by cię odnaleźć". Słysząc te słowa, poczułam, jak serce łomocze mi w piersi. Jego pochlebstwa działały na mnie niczym najgorętsze pocałunki.

„Co powie pani na to, żebyśmy tanecznym krokiem rozpoczęli naszą współpracę nad <Bella Donną>?', zapytał George Fitzmaurice, stając nagle nade mną.

Już zaczęłam podnosić się z krzesła, by udać się z nim na parkiet, lecz Charlie ścisnął mnie za ramię i wyszeptał: „Gdybyś wiedziała, jak mnie ranisz, nie robiłabyś tego".

Wyraz bólu w jego oczach sprawił, że osunęłam się z powrotem na krzesło i nie przyjęłam propozycji mojego gospodarza. Przez moment zatrzymałam wzrok na jego zdumionej twarzy, zaraz jednak zwróciłam oczy z powrotem na Charliego.

„Nie mogę się tobą dzielić", powiedział krótko. Zadrżałam. Jakaś siła, silniejsza niż wszystko, co kiedykolwiek czułam, przejęła nade mną panowanie. Nie byłam nawet w stanie z nim dyskutować. „Ja nie tańczę", ciągnął Charlie. „Dlaczego więc ty miałabyś to robić?"

Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Podniosłam wzrok i zobaczyłam jednego z najpopularniejszych aktorów w Hollywood. „Pani pozwoli, że się przedstawię: Rod La Rocque", powiedział. „Czy zechce pani ze mną zatańczyć?" „Przykro mi, ale nie…" La Rocque zawahał się przez chwilę, patrząc mi uporczywie w oczy, jak gdyby wiedział, że jest świadkiem nie do końca zrozumiałej sytuacji. „Przykro ci?", zapytał Chaplin. Jego twarz płonęła z zazdrości.

Od razu pożałowałam swojej szczerości, aczkolwiek naprawdę było mi przykro. Żałowałam, że nie potrafię zdobyć się na to, aby postąpić wbrew woli Charliego. Przecież tak bardzo chciałam zatańczyć! Szczególnie z takim wysokim, barczystym mężczyzną jak Rod. Iskra, jaką dostrzegłam w jego oczach, była dla mnie pokusą niemal nie do odparcia. Wkrótce miałam zrozumieć, że to

właśnie wysocy, przystojni mężczyźni będą wzbudzać w Charliem największą zazdrość.

Odtrącony Rod zniknął tak szybko, jak się pojawił, a mnie samą ogarnęło zdumienie na myśl o tym, jak dałam się zdominować Charliemu. Wszyscy zdawali się świetnie bawić, a ja – będąca zwykle w centrum rozrywki – siedziałam nieśmiało z boku, trzymając Charliego za rękę.

Co się ze mną dzieje?, zastanawiałam się, oszołomiona. Przecież nigdy wcześniej się tak nie zachowywałam.

Palce Charliego zacisnęły się na mojej dłoni. Wyraz jego twarzy można by określić mianem błogostanu. „Chciałbym uczynić cię naprawdę szczęśliwą", powiedział. Już wtedy zdawał sobie chyba sprawę z tego, że rzucił na mnie urok. Kiedy tej nocy odwiózł mnie do mojego bungalowu, nie chciał wejść do środka. Zamiast tego, niczym mały chłopczyk, usiadł na schodach przed drzwiami.

Usiadłam więc koło niego i wkrótce cała uraza, jaką czułam na wspomnienie przyjęcia, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Charlie uraczył mnie bowiem smutną historią swojego dzieciństwa, które spędził w londyńskiej dzielnicy Whitechapel.

Opowiadał o niezaspokojonym głodzie, który towarzyszył mu od najwcześniejszych lat, o braku ubrań czy nocnego okrycia, które uchroniłoby go przed wszechobecnym zimnem. Bardzo wcześnie zaczął pracować, by zarobić choć parę groszy, imając się prac fizycznych, a później występując w wodewilach. Wieloletnia walka o przetrwanie była torturą, która odcisnęła głębokie piętno w jego sercu i pamięci.

Pochłonięta jego smutną opowieścią, zupełnie zapomniałam o wszystkich moich planach na następny dzień, a przecież miałam być świeża, wypoczęta i gotowa do pracy. Wciąż w przebraniu Kleopatry, siedziałam z Charliem na schodach przed domem aż do wschodu słońca. Powieki zapuchły mi od płaczu nad jego smutnym losem, byłam wyczerpana psychicznie i fizycznie.

„Zjedzmy dziś razem kolację", zaproponował na odchodnym Charlie, a ja obiecałam, że będę na niego czekać. Nie potrafiłam zdobyć się na szczerość i powiedzieć mu, że przez następny miesiąc studio zarezerwowało już każdą minutę mojego czasu.

Odurzona i wyczerpana, przygotowałam się do snu, czując, że opadam z sił. Jedyne, co trzymało mnie przy życiu, to nadzieja na chociaż kilka godzin snu. Jednak kiedy tylko moja głowa spoczęła na poduszce, za oknem mojej sypialni zabrzmiała głośna muzyka.

To Charlie wysłał pod moje okno hawajską orkiestrę, aby

wygrywała dla mnie serenady! Nie zważając na moje prośby i groźby, muzycy niestrudzenie przygrywali pod moim oknem do późnych godzin porannych.

(…)

Wkrótce Hollywood okrzyknęło mnie zarozumiałą snobką. Często nie pojawiałam się na umówionych spotkaniach, a kiedy już zdarzyło mi się gdzieś zjawić, to najczęściej z ogromnym spóźnieniem. Z czasem w ogóle przestałam przyjmować zaproszenia. Trudno się dziwić społecznej ocenie mojej osoby.

Prawda była natomiast taka, że Charlie absorbował każdą minutę mojego wolnego czasu – i nie tylko. Wszelkie polecenia wydawane mi przez studio miał za nic. Nigdy nie chciał towarzyszyć mi na przyjęciach, na których miałam obowiązek się pojawić, a kiedy próbowałam pójść na nie sama, przyjeżdżał do mojego domu z pretensjami, wywołując wielogodzinne dyskusje. Nawet jeśli udało mi się w końcu gdzieś dotrzeć, zwykle pojawiałam się o wiele za późno i w stanie całkowitego rozbicia emocjonalnego.

Jedynymi osobami, które odwiedzały mnie w moim nowym domu, były Mabel Normand i Kay Williams, które przyjeżdżały na popołudniową herbatę. Często starały się przekonać mnie, bym pogodziła się ze stylem życia, jakiego, jak wiedziały, Charlie

Chaplin wymagał od każdej dziewczyny, z którą kiedykolwiek był związany.

Podczas jednej z nocy spędzonych w domu Charliego w górach oznajmiłam mu: „Wkrótce rozpocznę pracę nad moim nowym filmem. Zanim to jednak nastąpi, chciałabym wyprawić w moim nowym domu przyjęcie. Odbędzie się ono w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia". Charlie nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią. „Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale nie wezmę w nim udziału. Będę wtedy zajęty pracą". Jego słowa wprawiły mnie w zdumienie. „Ależ co ty wygadujesz?", zawołałam. „Kto pracuje w noc Bożego Narodzenia! Oczywiście, że przyjdziesz na moje przyjęcie! W końcu wyprawiam je specjalnie dla ciebie!"

Na te słowa Charlie uśmiechnął się radośnie, stwierdziłam więc, że nic już nie stanie na przeszkodzie moim planom. Wybrałam miejsce na ogromną choinkę i zadbałam o prezenty dla wszystkich zaproszonych. Chciałam urządzić najwspanialsze, najbardziej kolorowe przyjęcie, jakie widziało Hollywood. Udało mi się zapoczątkować nowy trend w modzie, teraz więc chciałam pokazać miejscowym, że jako gospodyni gwiazdkowego przyjęcia również mam do zaoferowania coś nowego.



Pola Negri ubiera choinkę w ogrodzie swojego domu w Beverly Hills, 1825 r., fot. ze zbiorów Mariusza Kotowskiego, stanowi część ikonograficzną książki „Własnymi słowami”

Podczas gdy mnie bez reszty pochłonęło zakupowe szaleństwo, Charlie pracował nad swoim filmem i ani się obejrzeliśmy, jak nadeszły święta.

Przygotowania do wieczornej gali rozpoczęłam wczesnym popołudniem. O dziewiętnastej trzydzieści w uszytej ze złotej lamy sukni o niezwykle egzotycznym kroju witałam gości

przybyłych na powitalne koktajle. Kolację podano punktualnie o dwudziestej pierwszej i do tego czasu w moim domu zebrali się wszyscy zaproszeni goście. Wszyscy, z wyjątkiem Charliego. Nie miałam od niego nawet słowa wiadomości. Kilkukrotnie przepraszałam zgromadzone w mojej jadalni towarzystwo, aby oddalić się i wykonać telefon do coraz to nowego miejsca, w którym myślałam, że może przebywać.

Nieobecność Charliego całkowicie zepsuła mi humor tego wieczoru. Dopiero pół godziny przed północą pojawił się służący i oznajmił: „Pan Chaplin przybył i oczekuje pani w bibliotece na górze".

Natychmiast zapominając o rozczarowaniu, wbiegłam na piętro, aby się z nim przywitać, przekonana, że zatrzymało go coś niezwykle ważnego.

„Witaj, moja droga", radośnie przywitał mnie Charlie, zamykając za mną drzwi do biblioteki. „Mam dla ciebie prezent". Nie mogłam nie zauważyć jego przebiegłego uśmiechu. „Jak mogłeś mnie tak rozczarować!", wybuchnęłam gniewem, ale on wyglądał tak, jakby moje słowa do niego nie dotarły. „Kochanie, oto twój pierścionek zaręczynowy. Nie jesteś ciekawa, jak wygląda?" Bez słowa otworzyłam aksamitne pudełeczko, które położył na mojej otwartej dłoni. Na satynowej poduszce spoczywał duży błękitno-biały brylant. „Nieoprawiony" – powiedział Charlie. „Mam

nadzieję, że ci to nie przeszkadza? Nie miałem czasu go oprawić”.

Przeszkadza? Jakże miałam wyrazić słowami to, co działo się w moim sercu? Przez cały wieczór nie czułam nic poza upokorzeniem. A teraz on pojawia się tutaj z pierścionkiem zaręczynowym, który tak naprawdę nie jest nawet pierścionkiem. Bo nie miał czasu! „Cały dzień spędziłem, pracując nad planami domu, który dla nas wybuduję”, kontynuował Charlie. „Będziemy mieć basen, kort tenisowy, wszystko, czego zapragniesz!”

„Jak możesz oczekiwać, że ci zaufam czy choćby uwierzę w to, co mówisz? Przecież nie znalazłeś nawet czasu, żeby zjeść ze mną świąteczną kolację!”, krzyczałam wzburzona. Ale błagalny ton Charliego znów trącił czułą strunę w moim sercu: „Polu, błagam cię, pozbądź się tych ludzi, żebyśmy mogli razem spędzić ten bożonarodzeniowy wieczór”. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że prawdopodobnie przez cały dzień nie miał nic w ustach. Pewnie nie miał nawet czasu, żeby zdać sobie sprawę z tego, że jest głodny.

Zgodziłam się więc. Ostatecznie czy to, że zamiast pierścionka przyniósł mi nieoprawiony brylant, naprawdę miało takie znaczenie? Dlaczego wywołało u mnie złość? I co właściwie zamierzałam zrobić? Czy byłam skłonna poślubić Charliego?

Kiedy wróciłam do salonu, goście szykowali się już do wyjścia. Przyjęcie dobiegło końca, jednak jeszcze długo cała ta sytuacja będzie tkwiła zadrą w moim sercu, bo Charlie nigdy nie dopilnuje, aby oddać mój zaręczynowy brylant do oprawienia.

(…)

Kiedy rozpoczęłam pracę nad „Bella Donną", sytuacja uległa pogorszenia Okazało się, że Charlie nigdy nie chce rozmawiać ze mną o mojej pracy, zawsze zmieniał temat na film, który to on kręcił w danym momencie. W tamtym czasie reżyserował Paryżankę, a ponieważ znałam Paryż jak własną kieszeń, mogłam służyć mu wieloma cennymi radami.

Zdarzały się tygodnie, kiedy więcej czasu spędzałam w studio Charliego niż moim własnym. Pracę nad moim filmem wykonywałam rutynowo, jednak w głębi mojej artystycznej duszy zdawałam sobie sprawę, że nie poświęcam własnej pracy tyle uwagi, ile powinnam. Zaczęłam się tym zadręczać, jednak kiedy próbowałam podzielić się moim niepokojem z Charliem, on odpowiadał mi niezmiennie tym samym irytującym pytaniem: „Czyż przebywanie ze mną nie sprawia ci radości?".

Kiedy jeden z najbardziej znanych pisarzy w Hollywood Rupert Hughes wraz z żoną zaprosili nas do swojego domu na kolację, w moim sercu pojawiła się nadzieja, że sprawy przybiorą lepszy

obrót. Kolacja miała zostać wydana w sylwestrowy wieczór, a Charlie obiecał, że przyjedzie po mnie wcześniej i razem wybierzemy się do państwa Hughes.

Ku mojej ogromnej radości, zjawił się u mnie całą godzinę przed tym, jak mieliśmy pojawić się u Ruperta. „Po drodze chciałbym zabrać cię do mojego domu w górach”, wyjaśnił. „Mam ku temu bardzo ważny powód”.

Dopiero kiedy dojechaliśmy do domku Charliego, zdałam sobie sprawę, że on nigdy nie miał zamiaru wybrać się na przyjęcie sylwestrowe. W górskim domku ujrzałam stojący przy kominku stół zastawiony, jak zwykle, dla dwóch osób. Na stoliku obok w wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana.

„Charlie! Przecież dziś bardziej niż kiedykolwiek nie możemy rozczarować naszych przyjaciół!”, zawołałam zrozpaczona. „Ależ Polu, dziś bardziej niż kiedykolwiek musimy być sami!” Usłyszawszy ton Charliego, spojrzałam w jego twarz. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak poważnego i przejętego. Nigdy wcześniej nie poczułam tak wyraźnie, jak bardzo on mnie potrzebuje. „Polu, pragnę poślubić cię jak najszybciej”, wyszeptał. „Nie pragnę niczego bardziej, niż mieć z tobą dziecko. Czy wyobrażasz sobie, jak cudowne byłoby nasze maleństwo?” W jego oczach zaszkliły się łzy. „Zadbam, aby nasz mały synek miał wszystko, czego brakowało mi w dzieciństwie. Dopilnuję, aby był

zdrowy i zawsze szczęśliwy, bez cienia nędzy, której ja zaznałem za młodu”.

Podeszłam do niego i przytuliłam jego głowę do mego ramienia. „Polu, ukochana”, wyszlochał Charlie, biorąc mnie w ramiona. „Jesteś jedyną kobietą, która może spełnić moje marzenia. Tak bardzo cię kocham! Wielbię cię bardziej niż cokolwiek na świecie!”

*

**Od 20 maja do 20 czerwca 2021 r. trwa Festiwal Poli Negri organizowany przez Austin Polish Society. Więcej informacji na stronie Austin Polish Film Festival:**

https://www.austinpolishfilm.com/

---

**Zobacz też:**

> Teksaskie opowieści. Pola Negri.

> Festiwal Poli Negri w Austin

„Bestia” i inne… O Festiwalu Filmowym Poli Negri w Austin.

---

# Powrót ojca z niewoli



Józef Wit Fabijański, jeniec stalagu IV G w Oschatz, nr 13694, fot. arch. autorki

**Teresa Fabijańska-Żurawska** *(Łańcut)*

Znowu urwał się kontakt z naszym ojcem, podobnie, jak to było na początku wojny. Codziennie wieczorem klękamy w jadalnym i modlimy się. Mama głośno odmawia litanię Loretańską do Matki Boskiej w intencji ojca by żył, by do nas wrócił. Wszystkie niedziele i święta chodziliśmy na mszę św. do kościoła św. Mikołaja, parafialnego i przyjmowaliśmy komunię św. w intencji

powrotu naszego taty. Coraz częściej dręczyły mnie sny. Wyraźnie widziałam powracającego ojca, który mnie tulił mocno, czułam jego obecność i… budziłam się w środku nocy z rozpaczliwym płaczem.

Było nam coraz trudniej ze wszystkim. Był rok 1943. Niemcy zachowywali się nerwowo. Z Warszawy napływały same złe wieści. Aresztowany został mamy wuj Aleksander Andrzejkowicz. Mówiono o wywożeniu inteligencji polskiej do Oświęcimia. Jeszcze nikt nie wiedział u nas co to jest Auschwitz. Na głównych ulicach Hrubieszowa Niemcy zgarniali przypadkowych ludzi z łapanek, pakowali siłą do ciężarówek i wywozili na roboty do Rzeszy. Była to praca przymusowa, bardzo ciężka i pod nahajami. Dla młodych organizowali obozy pracy tzw. „junaki". Co jakiś czas odbywał się komisyjny pobór i tylko choroba mogła uratować. Mama drżała zarówno o Elę, jak i o Witka. Ela wprawdzie pracowała legalnie w Polskim Czerwonym Krzyżu, ale każde wyjście na ulicę groziło łapanką, a te odbywały się znienacka i w godzinach, gdy ludzie wychodzili z pracy. W małym i słabo zabudowanym Hrubieszowie praktycznie nie było możliwości ucieczki toteż każdy szczęśliwie przeżyty dzień był dla nas cudem.

W zimie 1944 r. nasiliły się partyzanckie walki polsko-ukraińskie. Niemcy celowo podjudzali, aby odwrócić uwagę od siebie, bo już nie byli zwycięzcami. Złość, desperacja rodziła nienawiść tak

wielką, że wzajemnie Polacy i Ukraińcy – wczoraj sąsiedzi i pobratymcy – teraz najwięksi wrogowie wyniszczali się do cna. Bestialskie mordy, tylko za przynależność narodową czy religijną, wyrzynanie się wzajemne, palenie całych wsi, osiągnęły szczyt w marcu. Nie było dnia bez łun od południa i wschodu, które rozświetlały niebo złowrogo i budziły lęk łącznie z pytaniem: kiedy nas podpalą? – Wiosna 1944 r. między Huczwą a Bugiem przyniosła spaloną ziemię, ruiny domów, zwęglone sady, zrujnowane gospodarstwa, zabite bydło. Wypędziła resztki oszalałych bezdomnych ludzi. Do dzisiaj ślady tego horroru są widoczne. 1 tylko zadumać się wypada nad pięknymi opisami pióra znanego profesora, z pochodzenia hrubieszowianina – Wiktora Zina:

> Była taka wieś nad Bugiem, piękna jak kolorowy, dobry sen. Były tam rozstawione w rytmie i porządku chałupy kryte strzechami. (…) Przed każdą zagrodą stała kapliczka pośród liliowych bzów lub biało kwitnącej kaliny. Każde podwórze nakrywał parasol dorodnego drzewa, lipu lub jesionu (…). Żyli tam ludzie w trudzie, ale i w dostojeństwie, które daje modlitwa i praca. (…) Bratobójcze walki sprawiły, że z tego miejsca pamiętającego odwieczny rytm życia wielu pokoleń, pozostały ledwie kikuty kominów, zarośnięte ścieżki i kępy niedopalonych krzewów. Wyrąbano nawet krzyże, wdeptano w ziemię kapliczki. (Wiktor Zin, Opowieści o polskich

> kapliczkach, Ossolineum 1995).

***

Koniec listopada 1944 r. i „andrzejkowe” wróżby. Lejemy wosk do miednicy z zimną wodą. Wszyscy przejęci, skupieni. Kolejno każdy wylewa swój los. Na białej ścianie odczytujemy z cienia co wyszło. Nie jest to proste. Figurą woskową trzeba kręcić we wszystkie strony i najczęściej nic nie wychodzi. Namówiliśmy mamę, żeby spróbowała. Teraz z powagą, w ciszy przyglądamy się bezkształtnej masie. Obracamy w palcach ostrożnie, żeby nie połamać miękkiego wosku i… oto wychodzi nam sylwetka mężczyzny nieco przygarbionego, z plecakiem na plecach, w wysokich butach i w czapeczce z małym daszkiem. Wyrazista i nad podziw czytelna. Nie do wiary! – Mama śmieje się i mówi: „któż to???” – Zapanowała głęboka cisza, ale po chwili byliśmy rozbawieni wszyscy. Sypały się dowcipy moich braci, zwłaszcza uszczypliwe na temat mojej przyszłości matrymonialnej. Miał to być fircyk – korniszon. Nigdy tego zestawienia słów nie zrozumiałam. A czy to się spełniło – opowiem później.

***

Mimo terroru i niebezpieczeństwa w Hrubieszowie powstały tajne komplety nauczania średniego. Dużo młodzieży uczyło się,

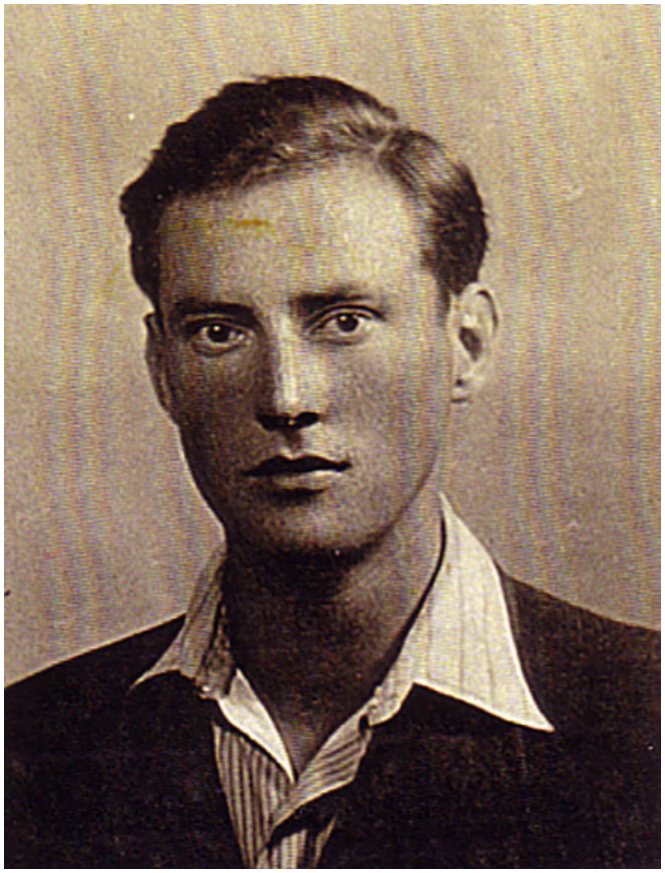
a nauczycielami byli przedwojenni profesorowie gimnazjalni. Już w 1943 roku zaczęła działać Armia Krajowa. Witek ubrał się w ojcowski, peowiacki mundur polowy: spraną bluzę, sznurowane spodnie, włożył furażerkę i poszedł do lasu.

Przysięga żołnierzy – akowców odbyła się 25 września 1943 r. w Hrubieszowie, oczywiście w konspiracji. Przyjmował Kazimierz Stachowiak pseudonim „Ludwik". Dowódcą zgrupowania AK Obwodu Hrubieszowskiego był wówczas Marian Gołębiewski, pseudonim "Korab". Te wiadomości otrzymałam od brata już w latach 90. XX w.

Któregoś dnia Witek przyszedł w biały dzień do domu, od strony lasu Bohorodycy i łąk, z bagnetem za pasem, jak gdyby nigdy nic. Przyszedł pokazać się, że żyje i pewnie zjeść, chociaż nie bardzo było co. Jedliśmy wtedy na okrągło zacierkę, jeśli była mąka od Wacka Banaszkiewicza z Wiszniowa, placki na sodzie, latem kukurydzę i bób. Czasem kupowaliśmy od sąsiadów jabłka, wtedy była szarlotkowa uczta, ale te szarlotki były bez tłuszczu i bez cukru, z szarej, zanieczyszczonej mąki. Piło się herbatę z suszonych skórek z tychże jabłek, których charakterystyczny zapach unosił się zawsze w mieszkaniu. Lubiłam go i do dzisiaj miło się kojarzy.

Bez Witka czuliśmy się mniej bezpieczni. On nam zapewniał byt, zastępował w jakimś sensie Ojca, był naszym opiekunem. Zawsze

coś zdobył: mleko, mąkę, z której sam upiekł chleb u sąsiadów w dużym piecu chlebowym i podpłomyki niezapomniane, bo były to placuszki płaskie, z ciasta chlebowego, które piekło się przy jeszcze żarzących węgielkach drzewnych, zanim chleb poszedł do pieca, dla wypróbowania czy odpowiednia jest jego temperatura. Były więc zawsze podpieczone i to był ich urok, niepowtarzalny zapach i jedyny smak. Łamało się ich okrągławy kształt i jadło ciepłe, kruche z masłem, o ile ono było. Wtedy smakowały najlepiej. Witek miał w 1944 roku osiemnaście lat, jak w tej piosence partyzanckiej o sercu w plecaku, był chyba najmłodszym partyzantem w swoim oddziale. Bardzo martwiliśmy się o niego.



Mój najstarszy brat Wiktor Fabijański, ur. 31.01.1926 r. w

Zamościu, od 1943 r. w Armii Krajowej, pseudonimy „Kaśka” i „Jeremi”, łącznik w Hrubieszowie, fot. arch. autorki
Tymczasem zbliżał się do nas front. Słychać było głuche pomruki dział sowieckich, ziemia jęczała. Robiło się coraz straszniej. Niemieccy żołnierze kopali rowy w podwórzach. Miały zdaje się służyć na działa przeciwlotnicze. Tymczasem posłużyły nam jako schronienie przed odłamkami w czasie bombardowań w lipcu 1944 roku.

Byliśmy już z Julkiem po szkole, lato było upalne, błękitne niebo, jaskrawe słońce i susza. Nie wiem, czy to Niemcy na odchodnem, czy Sowieci nacierając bombardowali tory kolejowe co parę metrów. Samoloty nadlatywały seriami, po kilka. Najpierw słyszało się głuche buczenie coraz to nasilające się, później przeciągły, rozdzierający uszy huk, wycie, nagle zniżały się tuż nad nami i za chwilę serią bomb częstowały polską ziemię. Świst, wybuch, jęk ziemi, fontanny kamieni, odłamków, brzęk szkła i… cisza. Do dzisiaj na warkot samolotu reaguję gęsią skórką.

Bomby spadały przeważnie na wygon robiąc tam ogromne leje. Odłamki rozpryskiwały się w promieniu kilkuset metrów. Ranna została pani Janka Malinowska, strasznie śmieszna stara panna, Eli koleżanka z PCK. Przybiegła do nas między nalotami z głową zabandażowaną białymi szmatami i właśnie zaczął się kolejny nalot. Skoczyłyśmy we trzy do rowu: Ela w jednym kąciku, ja przytulona z psem Sońką, jamniczką zostawioną nam przez

uciekinierów ze wschodu, w drugim kątku, a panna Janka na środku z tą białą głową. Kazałyśmy jej przykryć głowę stołkiem, po którym wskakiwałyśmy. Posłuchała. A Mama z Babcią siedziały cały czas w malinach i nigdzie nie chciały się ruszać, o żadnych dołkach nie myślały. Julek siedział na jabłonce i obserwował ostrzał z samolotów i chyba walkę powietrzną, bo ciągle wrzeszczał z zachwytem – ale dostał! Okna były wszystkie pootwierane, żeby szyby nie wyleciały, ale u sąsiadów i w oficynie nikt o to nie zadbał i słychać było brzęk tłukącego się szkła. Pamiętam, że te naloty trwały cały dzień. Nie wiem czy jeden, czy więcej. Na pewno jedną noc spaliśmy w lochu na kartoflach, które Wojtysiakowie mieli w podwórzu. Loch okazał się na tyle duży, że zmieściliśmy się: Babcia, Mama, Ela, Julek i ja. Sąsiadów gdzieś wyniosło. Nie było żywego ducha. Nad ranem zaległa martwa cisza. A gdy słońce już było na niebie posłyszeliśmy ruską mowę: ”kuda, chody siuda”, „sało u was zdes?”, „wodka, wodka”! – wylegliśmy z lochu. Widok był swojski. Ruscy sołdaci, przyjaźni ludziom miejscowym poszukiwali chleba, słoniny, wódki. Byli brudni, głodni i śmierdzieli dziegciem (dobrze znany nam zapach, gdy mieliśmy świerzb). Myli się pod studnią mydłem, które miało dziwne niebieskie kropki. Myśmy mydła nie widzieli już od dłuższego czasu, zapasów nie było, więc podarowany kawałek, kosteczkę prostokątną przyjęliśmy z wdzięcznością.

Pokazali się ludzie, wylegli z ukryć, poprzynosili żołnierzom

wszystko, co mieli. Znalazł się chleb i słonina. Nasza wdzięczność dla nich wtedy nie miała ceny. Byli to wyswobodziciele od tych znienawidzonych, butnych, okrutnych Niemczurów. Sowieccy żołnierze mieli nici białe i czarne, dobre, mocne, do przyszywania kołnierzyków i guzików. Dawali nam swoje zapasy, które przydały się później. Jeszcze długo po wojnie tekturowe gwiazdki z resztkami tych nici przechowywała Ela w swoim igielniku wraz z ruskim naparstkiem. Takie były prezenty powitalne od wyzwolicieli. Trzeba to powiedzieć, gwoli prawdy, że od razu zrobiło się radośniej i już nie było tego paraliżującego lęku o życie.

Dowództwo AK uznało, że czas wyjść z lasu. Rzucone hasło „na Warszawę" miało być zrealizowane. Ogłoszono dzień powitania Akowców w mieście Hrubieszowie. Tłumy wyległy na ulice. Kto żyw niósł kwiaty, by rzucić je do stóp naszym bohaterom.

– Ależ, co to? – w każdym załomie, podwórzu, w bocznych uliczkach ruskie, zamaskowane gałązkami zieleni czołgi. Lufy skierowane na główną ulicę. Ludzie szeptali: „ale zagrzmią na wiwat, a potem na pewno pojadą za naszymi na Warszawę". Domysły te okazały się płonne. Dziarscy nasi, chłopcy w zwartych szeregach wyszli z lasu i maszerowali radośni, odważni, szczęśliwi, że będą mogli otwarcie walczyć z wrogiem, być współwyzwolicielami własnej Ojczyzny.

I wtedy stało się coś strasznego. Czołgi wyjechały na nich. Nie uwierzyli własnym oczom i szli dalej, na przód. Jeden zginął. Wtedy z okrzykiem „zdrada”! rzucili się do ucieczki, gdzie kto mógł. To widzieli zgromadzeni wzdłuż ulic mieszkańcy.

Relacja Wiktora Fabijańskiego pseudonim „Kaśka”, później „Jeremi”:

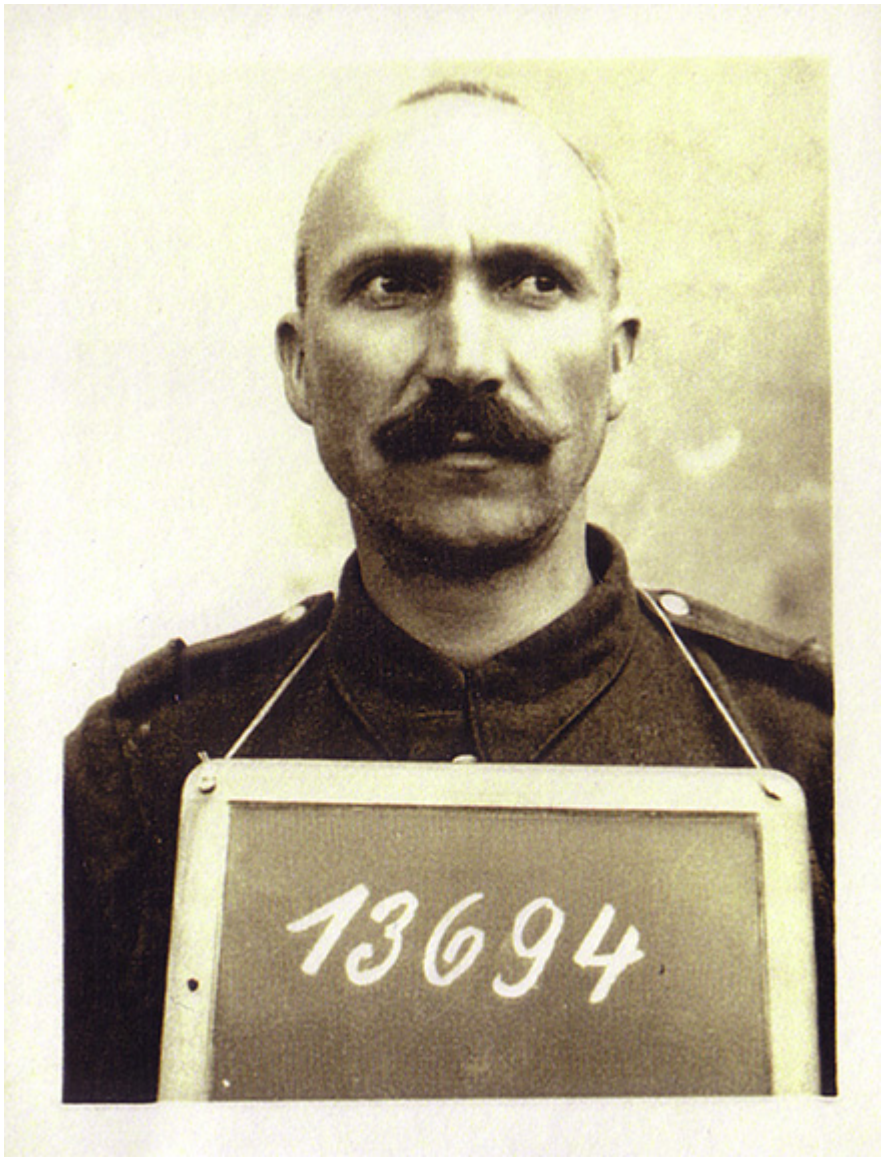
> Maszerowaliśmy do Hrubieszowa zgodnie z uzgodnieniami między dowództwami AK i wojsk sowieckich. Obiecano nam umundurowanie, dozbrojenie i przewiezienie do obrzeży Warszawy. Mieliśmy zakwatero-. wać się chwilowo w koszarach w Hrubieszowie. Nasze 3 bataliony liczące około 1400 żołnierzy masztowały drogą Trzeszczany – Hrubieszów. Przed Hrubieszowem otrzymaliśmy meldunek, że Hrubieszów jest zastawioną pułapką, czekają tam na nas okopane CKM-y i czołgi. Wtedy dowódca naszego Zgrupowania zarządził odwrót i wycofanie się w lasy na. północnym zachodzie powiatu hrubieszowskiego. Czołgi dogoniły nas wieczorem. Śniadanie mieliśmy zgotowane o 8-ej rano przez ludność w Trzeszczanach, gdzie owacyjnie nas przyjmowano. Oddziały pospiesznie się wycofywały. Ja z rozkazu szefa mojej kompanii przesiadłem się na konia naszego dowódcy por. ”Osterwy” czyli Zygmunta Ochmana i na tym koniu jeździłem z patrolem do późnej nocy. Potem

> konia musiałem oddać i dołączyłem do plutonu „CKM” por. „Zycha” czyli Janusza Grody. Czołgi nie od razu ruszyły za nami. Na przedzie mieliśmy dwa działka przeciwpancerne. Nikt nie zginął”. – Chwała Bogu! Ale nikczemność i zdrada były oczywiste. Nie mieliśmy już złudzeń co do naszych „wyzwolicieli.

W Warszawie wybiła „Godzina W”. Stało się to 1 sierpnia o godz. 17.00, 1944 r. Wojska sowieckie były wtedy na Pradze i stały nad Wisłą patrząc, jak ginie Warszawa. Czekali specjalnie aż się wykrwawi, aż padnie ostatni powstaniec, aż Niemcy zburzą jej domy systemem sznurowym, całymi ciągami zabudowy, ulica po ulicy, kamienica po kamienicy. Jedno wielkie gruzowisko…



Józef Wit Fabijański, przed wojną w 1939 r.




Józef Wit Fabijański w stalagu w Oschatz, listopad 1939 r.

Powstanie Warszawskie trwało 63 dni. Heroizm mieszkańców i walczących Akowców sięgnął zenitu. Wydawało się, że nie ma już żywych wśród tych ruin. Ale, gdy okupanci kazali ludności wyjść z piwnic, lochów, schronów, gruzowisk – okazało się, że cudem jakimś wiele ocalało. Wygnano ich z Warszawy do obozu w Pruszkowie. Ciocia Milusia, mamy siostra, nasza rodzinna mistyczka przez cały czas powstania była w Warszawie. Przetrwała najgorsze i razem z uchodźcami dzieliła smutny los.

Została wywieziona do Austrii, gdzie przebywała w nieznanym nam bliżej klasztorze w dolinie Linzu, już do końca wojny.

Jako absolwentka matematyki na uniwersytecie w Petersburgu, przyjechała do Warszawy w wolnej Polsce i pracowała w banku PKO na Żoliborzu. W dwudziestoleciu międzywojennym stanęła tam zabudowa mieszkaniowa. Ciocia miała własnościowe mieszkanie na rogu ulic Mickiewicza i Zajączka. W czasie działań wojennych najpiękniejszy pokój został uszkodzony pociskiem. Odbudowane zajęli przypadkowi ludzie. Trzeba było pracować ćwierć wieku, by mieszkanie to odzyskać drogą wpłaty czy spłaty za podobny lokal nieproszonym lokatorom. Ciocia czuła się warszawianką i do stolicy wróciła, tyle, że niezadługo zmarła na białaczkę. Podziwialiśmy Jej wiedzę, wiarę w lepszą przyszłość Polski. Uwielbialiśmy Jej opowieści, anegdotki, którymi bawiła nas w czasie okupacji, gdy przyjeżdżała na swoje urlopy do Hrubieszowa, Czumowa, czy, już po wojnie, do Zamościa.

Niemców nie bała się i w ogóle była ogromnie odważna, rodzinna, o głęboko zakorzenionym patriotyzmie nie pozbawionym dużej dawki mistycyzmu. Umiała interpretować wszelkie znane w Polsce przepowiednie i miała niezłomną wiarę w wolną Polskę, na prawdę wolną. W którymś roku wojny pojechała sama do Czumowa na Boże Narodzenie, by, jak sama mówiła „wykurzyć Niemców” za pomocą snopka zboża ustawionego w Wigilię w rogu salonu. Taka ludowa wróżba. I

stało się. Ale w ostatnim roku okupacji kontakt z Ciocią Milusią urwał się. Byliśmy przecież po dwóch stronach Wisły, a to znaczyło w dwóch różnych światach.

***

Przyszedł rok 1945. Upalny czerwiec. Jeszcze nie koniec szkoły podstawowej. Niespodziewanie przyszła depesza z Zamościa o radosnej treści: „Wujcio Pocio wrócił”. Wysłała ją siostrzenica naszego Taty, Jadzia Kosińska. Był dzień 14-ty czerwca. Dokładnie, jak przepowiedział duch. Na drugi dzień nie poszliśmy do szkoły, bo witaliśmy lekko przygarbionego pana z plecakiem na plecach, w wojskowej, amerykańskiej kurtce, wysokich sztylpach, w zielonej, małej czapeczce z małym daszkiem. Sylwetka dokładnie powtórzona z pamiętnego odlewu woskowego, wywróżona w „andrzejkowy” wieczór. Cóż powiedzieć? – Przecież to nie zbieg okoliczności…

Pamiętam dobrze moje pomieszanie, nieśmiałość, wręcz wewnętrzny paraliż. Nie mogłam pojąć, że ten dziwnie wyglądający pan, pochylony i przedwcześnie postarzały to mój ukochany, wyczekiwany, wypłakany Tatuś, zupełnie nie podobny do tego z fotografii przedwojennej, którą mama nam ciągle pokazywała. Po sześciu latach nieobecności nie mogłam przytulić się, ucałować, objąć. Nie byłam już małą dziewczynką, byłam podlotkiem,  za dużym, by wziąć na ręce i za małym, by zarzucić

ręce na szyję. Stałam onieśmielona i patrzyłam na to rodzinne powitanie, a w głowie mi szumiało. Czułam, że chwila jest ważna, że dzieje się coś wielkiego, czego nie umiałam okazać. Pamiętam, że po powitaniach wszyscy usiedliśmy i zaczęły się opowieści. Tata mówił nam o swojej niezwykłej podróży przez Europę i Polskę. Jakże musiała ta droga się dłużyć… od 16 kwietnia, gdy opuścili obóz w Oschatz do 7 czerwca – końcowego etapu pociągiem do Zamościa. I wreszcie był ze swoją ukochaną Lolusią i czwórką młodzieży, której na ulicy pewnie by nie rozpoznał po sześciu latach niewidzenia.



Polska kaplica w niemieckim obozie w Oschatz w Saksonii, fot. arch. autorki

Potrzebowałam czasu, by oswoić się z nową dla mnie sytuacją, by

dotarło nareszcie do mojej świadomości, że mam Ojca żywego, który wrócił do nas i będzie się teraz nami opiekował. Szczęśliwy to dzień i szczęśliwe te dzieci, które przeżyły powrót ojca z wojny. Ileż rodzin czekało na darmo! – ileż dzieci dowiedziało się, że ich ojciec wprawdzie żyje, ale do nich nie wróci, bo ma już drugą żonę, drugą rodzinę, drugą ojczyznę.

Dzisiaj dopiero zrozumiałam, jaki to musiał być dramat wewnętrzny, jaka rozterka: wrócić do zniewolonego komunistycznego Kraju, czy pozostać za granicą np. w Anglii i tam czekać zmiany losu Polski. – Czekać na cud lub trzecią wojnę, a może działać z dala na rzecz Polski – Ojczyzny jedynej?

Ojciec mój, nie zważając na złowieszcze prognozy swoich towarzyszy niedoli jenieckiej, na ich żarty, wręcz kpiny i manifestowaną pogardę, że wraca pod reżim, by pomóc Sowietom budować go w Polsce – miał jeden argument, okazało się bardzo trudny do pojęcia, a przecież tak prosty. – Jest już po wojnie – powiedział – wracam do mojej rodziny. Czekają na mnie, liczą, potrzebują mnie. Żona i czworo uczącej się młodzieży. Muszę być z nimi, dla nich pracować, wykształcić moje dzieci, przecież to mój obowiązek społeczny. Mam też w kraju Matkę i siostrę. Muszę się nimi zaopiekować. Nie pojmuję życia inaczej. I wrócił!

Europę przemierzał odcinkami: koleją i pieszo. Wszędzie ruiny,

zbombardowane mosty, zatarasowane drogi, żadnej normalnej komunikacji. Dla piechura pozostały tylko dwie pewne nogi i plecy do dźwigania skarbów w plecaku. A tymi skarbami były listy od nas do Ojca pisane na przestrzeni tych lat, spora i ciężka paczka ok. 600. Był też album z fotografiami obozowymi, numery gazety – miesięcznika stalagowego „Zza drutów”, szkatułka drewniana własnej roboty – prezent dla żony i maszynka do krojenia chleba – cud cywilizacji europejskiej – bez deski, bo ta była już za ciężka. W albumie kryła się jeszcze jedna pamiątka – świętość: obrazek Matki Bożej Częstochowskiej (wielkości pocztówki) z uszkiem z nitki do zawieszenia nad pryczą. Według tego wizerunku młody jeniec – Polak namalował duży, piękny obraz do kaplicy obozowej Polaków. Było uroczyste jego poświęcenie i zachowała się fotografia malarza. Młody, ładny chłopak, jakże utalentowany. Może Częstochowska wzięła go w swą opiekę?



Ten młody żołnierz o nieznanym nazwisku namalował obraz kaplicy obozowej w Oschatz. Wzorem był mały obrazek z Matką Boską Częstochowską należący do mojego ojca Józefa Wita Fabijańskiego, fot. arch. autorki

Tatulku mój, ile wycierpiałeś, ile się natrudziłeś, ile namęczyłeś – Ty wielki patrioto, polski PEOWIAKU (P.O.W.—Polska Organizacja Wojskowa), ułanie belwederski I pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, żołnierzu polski, któryś walczył dzielnie rozbrajając okupantów w Kijowie 1920 roku. Pomagałeś ustanawiać porządek i polską, władzę na Wołyniu za co

odznaczono Cię Złotym Krzyżem Walecznych. Ty, mężny, kochający Ojczyznę i nas tak bardzo, że wybrałeś trudniejszą niepewność niż angielski dobrobyt. Spieszno Ci było do Twojej kochanej Lolusi i czcigodnej Mateńki oraz naszej czwórki. Dzień po dniu pokonywałeś drogę do Polski w upale i w deszczu, po gruzach i zgliszczach, głodny i wyczerpany – ale jakże wytrwały! Umiałeś być dzielnym. Piłsudskiemu też niosłeś zamojską ziemię w urnie na kopiec do Krakowa. Szedłeś pieszo codziennie przemierzając drogę od dworu do dworu lub od plebani do plebani, by na czas dojść do stolicy Piastów i Jagiellonów. Przechowuję, jak relikwię świętą, Twoją książeczkę z tej wędrówki, w której czerwone i fioletowe pieczęcie poświadczają ślad Twoich stóp.

***

**Droga wojskowa Józefa Wita Fabijańskiego**

Urodzony 15 czerwca 1899 r. w Miękowiźnie powiat Garwolin z matki Władysławy z Taczanowskich i Aleksandra Fabijańskich. Po nagłej śmierci ojca w 1908 r. wyjechał z rodziną do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie uczęszczał do gimnazjum. W końcu 1917 r. wstąpił do P.O.W., a w dn. 5 kwietnia 1918 r. złożył przysięgę. Początkowo należał do sekcji oświatowej i z aparatem projekcyjnym objeżdżał polskie kolonie. Dnia 7 czerwca 1919 r. wstąpił jako ochotnik do 1 Pułku Szwoleżerów 5

szwadronu detaszowanego por. Brochwicz-Lewińskiego. Później był w sztabie 1 Dywizji Legionów w oddziale operacyjno-informacyjnym jako szef kancelarii. Po zakończonej wojnie 1920 r., w której brał udział w Kijowie i na Wołyniu został odznaczony Krzyżem Wołynia – Waleczności i Niepodległości. Dnia 27 czerwca 1921 r. na prośbę matki został zwolniony z wojska. Podjął dalszą naukę w Warszawie specjalizując się w kierunku buchalteryjno-handlowym na prywatnych kursach. Widocznie finansiści byli poszukiwani, bo ojciec otrzymał kilka propozycji, ale nie w Warszawie, gdzie miał ochotę pozostać i jeszcze się kształcić. Przyjął stanowisko dyrektora prywatnej fabryki St. Kowerskiego w Zamościu. Potem były lata kryzysu i propozycja organizowania i kierowania Bankiem Spółdzielczym Rolników w Hrubieszowie. To trwało do wybuchu wojny.

Jako rezerwista ojciec został powołany dopiero 9 września na zgrupowanie do Tomaszowa Lubelskiego. Pojmany przez wojska sowieckie w nocy z 17 na 18 września na terenie Wołynia, w okolicach Równego przebywał w niewoli sowieckiej na terenie Rosji (wożony w bydlęcych wagonach na mokrych liściach przez 7 tygodni). Drogą wymiany jeńców pomiędzy ZSRR a Niemcami, dostał się do międzynarodowego obozu na terenie Saksonii w miejscowości Oschatz, położonej między Dreznem a Lipskiem i tam w różnych Stalagach przebywał do kwietnia 1945 r.

Po powrocie do Polski, do Zamościa, pracował najpierw w PKO,

później w prywatnej fabryce wódek Ostera, a po jej likwidacji w Zakładach Sieci Elektrycznej w Zamościu, zawsze na stanowisku związanym z finansami, księgowością, dawniej nazywało się to buchalterią. Zmarł w Zamościu, będąc już na emeryturze dn. 6 września 1972 r.

***



Eigentums-Bescheinigung

über 1 paar Halbschuhe 3 Hemden 2 Unterhosen, 1 Schlafhose — 1 Schlafjacke, 3 paar Socken, 1 Pullover

aus einer Paketsendung an den Kriegsgefangenen:

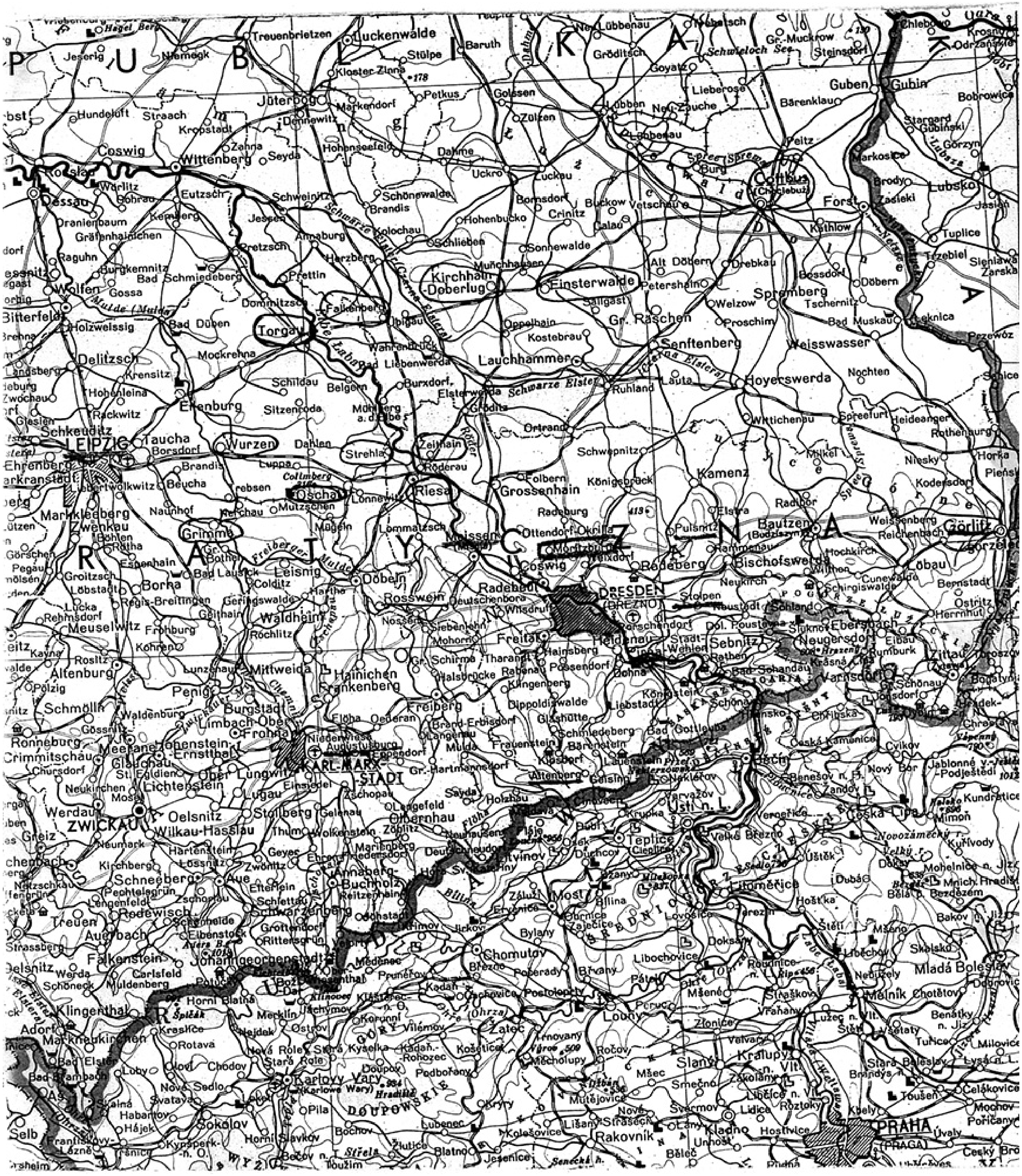
Nr.: 13694 Name: Fabijanski, Josef

Vorgenannter Gegenstand ist Eigentum des Kriegsgefangenen.

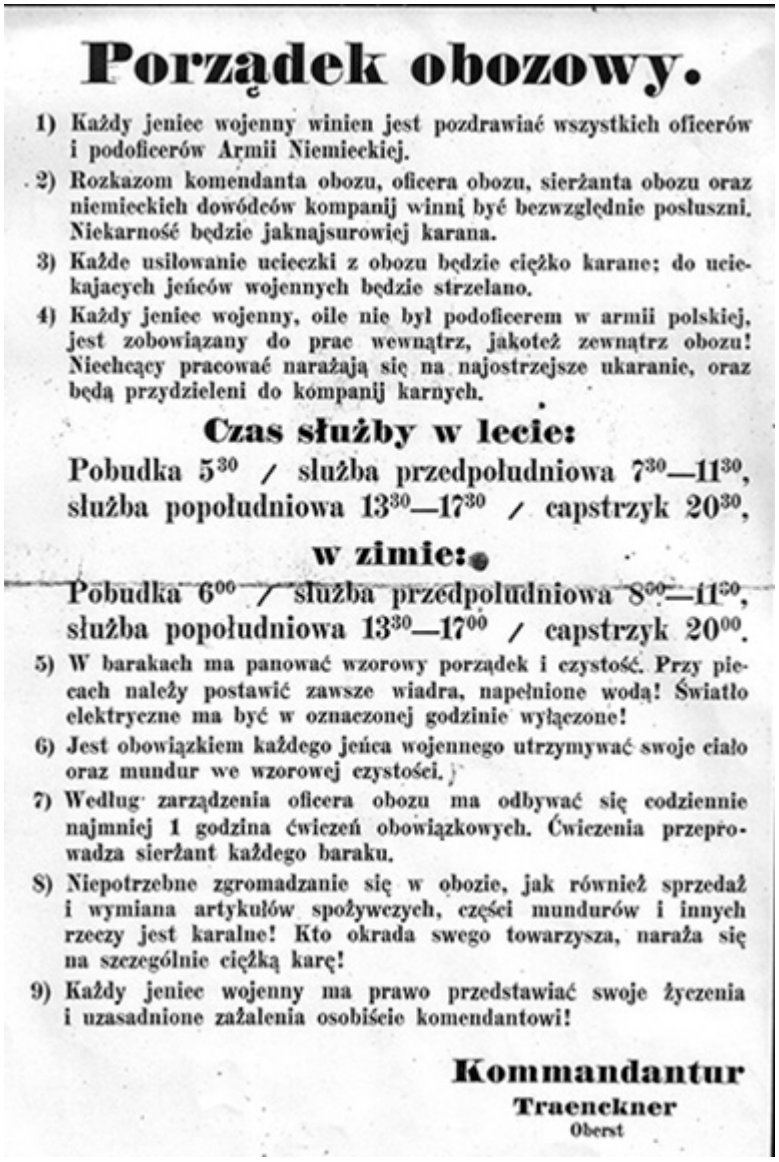
Oschatz, den 5. Jan. 1944.

Kdtr. Stalag IV G
Postüberwachung

Paketprüfer
Bergell Obsch.



LEIPZIG
DRESDEN
(DREZNO)
KARL-MARX-STADT
ZWICKAU
PRAHA
(PRAGA)
Cottbus
Görlitz
Bautzen
Wittenberg
Dessau
Torgau
Riesa
Meissen
Freiberg
Hoyerswerda
Senftenberg
Lauchhammer
Finsterwalde
Kamenz
Grossenhain
Döbeln
Wurzen
Grimma
Oschatz
Altenburg
Luckenwalde
Jüterbog
Guben
Forst
Spremberg
Weisswasser
Zittau
Teplice
Ústí n. L.
Most
Chomutov
Karlovy Vary
Louny
Kladno
Mělník
Litoměřice
Děčín
Sebnitz
Pirna
Radebeul
Bitterfeld
Delitzsch
Eilenburg
Borna
Werdau
Greiz
Aue
Annaberg-Buchholz
Mittweida
Hainichen
Rakovník
Slaný
Kralupy n. Vlt.



# Porządek obozowy.

1) Każdy jeniec wojenny winien jest pozdrawiać wszystkich oficerów i podoficerów Armii Niemieckiej.
2) Rozkazom komendanta obozu, oficera obozu, sierżanta obozu oraz niemieckich dowódców kompanij winni być bezwzględnie posłuszni. Niekarność będzie jaknajsurowiej karana.
3) Każde usiłowanie ucieczki z obozu będzie ciężko karane; do uciekających jeńców wojennych będzie strzelano.
4) Każdy jeniec wojenny, oile nie był podoficerem w armii polskiej, jest zobowiązany do prac wewnątrz, jakoteż zewnątrz obozu! Niechcący pracować narażają się na najostrzejsze ukaranie, oraz będą przydzieleni do kompanij karnych.

**Czas służby w lecie:**

Pobudka $5^{30}$ / służba przedpołudniowa $7^{30}$—$11^{30}$, służba popołudniowa $13^{30}$—$17^{30}$ / capstrzyk $20^{30}$,

**w zimie:**

Pobudka $6^{00}$ / służba przedpołudniowa $8^{00}$—$11^{30}$, służba popołudniowa $13^{30}$—$17^{00}$ / capstrzyk $20^{00}$.

5) W barakach ma panować wzorowy porządek i czystość. Przy piecach należy postawić zawsze wiadra, napełnione wodą! Światło elektryczne ma być w oznaczonej godzinie wyłączone!
6) Jest obowiązkiem każdego jeńca wojennego utrzymywać swoje ciało oraz mundur we wzorowej czystości.
7) Według zarządzenia oficera obozu ma odbywać się codziennie najmniej 1 godzina ćwiczeń obowiązkowych. Ćwiczenia przeprowadza sierżant każdego baraku.
8) Niepotrzebne zgromadzanie się w obozie, jak również sprzedaż i wymiana artykułów spożywczych, części mundurów i innych rzeczy jest karalne! Kto okrada swego towarzysza, naraża się na szczególnie ciężką karę!
9) Każdy jeniec wojenny ma prawo przedstawiać swoje życzenia i uzasadnione zażalenia osobiście komendantowi!

**Kommandantur**
**Traenckner**
Oberst

## Powrotna droga z obozu w Oschatz do Zamościa

Na zachowanej kartce wielkości zeszytu, złożonej we czworo tak, by mieściła się w kieszeni munduru, Ojciec mój, Józef Wit Fabijański spisywał dzień po dniu przebyty etap, zaznaczając jednocześnie czy szli pieszo, czy jechali. Z pogrzebu Francuza, którego musieli po drodze pochować wynika, że opuścili obóz nie tylko Polacy. Jak było ich dużo? – trudno wiedzieć. Dlaczego krążyli wokół Oschatz zmieniajęc kierunek raz na wschód, raz na

zachód w gruncie rzeczy nie przybliżając się do Kraju. Cóż to była za strategia? – Rozumiem, że mogły być przeszkody natury komunikacyjnej, dróg, mostów, transportu – wszak trwały jeszcze działania wojenne. Koniec wojny nie był ogłoszony. – Może więc historykom II wojny św., badaczom wojskowości taki fakt udokumentowany zapisem jednego z jeńców, będzie przydatny, może coś wyjaśni? – Na załączonej mapie zakreślone miejscowości wykazują jakiś bezsens tej wędrówki, przedłużania udręki i niepewności. Karmienie żołnierzy złudzeniem, że wracają do ojczyzny…

Przytaczam dosłownie ten kuriozalny dziennik podając jedynie nazwy miejscowości w ich brzmieniu z mapy wydanej w Polsce w 1959 r.

**POWRÓT**

16.IV godz. 11-ta wyjazd z Oschatzu przez Strehlę do lasu Jakobsthal pod obóz w Zeithain (po drugiej stronie Łaby).

21.IV.godz. 21-sza wyjazd z lasu brzegiem Łaby (Elby) przez Riesę do wsi Zekwitz w niedzielę, godz. 4-ta po obiedzie.

23.IV rano godz. 8-ma wymarsz pod Oschatz do Weisdorfu.

25.IV.godz.16.30 wymarsz do linii frontowej amerykańskiej pod

Wurzen i skierowanie na Grimmę

26.IV. godz. 9-10-ta przeprawa przez Muldę. Oblanie wolności butelką wina; godz.13-ta przybycie do koszar.

29.IV. Msza św. polowa na placu.

17.V. odjazd z Grimmy za Muldę godz. 10-ta i marsz do Dübrieczen (?).

18.V. marsz przez Wernsdorf do Torgau – tam nocleg.

19.V. Triestewitz (Zielone Świątki) – przerwa na pogrzeb Francuza.

21.V. dalszy marsz do Falkenbergu.

22.V. marsz dalszy na Kirchhaln-Doberlung z postojem nocnym.

23.V. marsz Einsterwaldei nocleg w Biltten.

25.V. wymarsz w kierunku Cottbus (Chocieboża) i nocleg.

26.V. godz. 18-ta przybycie na stację i załadowanie do pociągu, odjazd nocą.

27.V. przybycie do Sorau o godz. 17-tej. Dłuższy postój i wyjazd w nocy z 29 na 30 maja do Głogowa w godz. południowych

1.VI. wyjazd godz. 18-ta przez Rawicz do Oleśnicy. Postój przez noc i wyjazd do Lublińca.

3.VI nocleg i wyjazd do Częstochowy.

4.VI Częstochowa, godz. 10-ta.

5.VI godz. 19-ta wyjazd do Kielc, nocleg.

6.VI. godz. 5-ta wyjazd do Skierniewic i dalej do Rozwadowa.

6.VI/7.VI nocleg na dworcu.

7.VI godz. 5-ta wyjazd do Lublina, przesiadka na pociąg do Zamościa

7.VI godz. 18-ta przybycie do Zamościa – (koniec DROGI PRZEZ MĘKĘ, przyp. T.F.Ż.)

Powrót do Mateńki i Januszki z Jadzią.

*Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.*

## Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

> Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

## Zobacz też:

> Historia w karetach zaklęta

# Komunizm na wesoło i inne miniatury

**Wilek Markiewicz** *(1930-2014)*



Wilek Markiewicz, Toronto, rys. ołówkiem, własność prywatna,

obraz podarowany przez Wilka Markiewicza Joannie Sokołowskiej-Gwizdka

**Komunizm na wesoło**

1. Wszedłem do porządnej knajpy w Warszawie. Paru bywalców stało przy barze. Rozglądam się – gdzie tu obsługa? Ktoś mi odpowiada: – To już nie te czasy! – Więc gdzie mam zamawiać?

Kierują mnie do końca lokalu i tam się dołączyłem do wyczekującej grupy. W końcu okienko w ścianie się otwiera i ukazuje się duża taca wypełniona kuflami piwa, jak wodą, bez pianki. Widocznie długo stało. Okienko się zamyka i między obecnymi rozpoczyna się walka o szklanki. Jakaś kobieta łapie mnie za przegub ręki, ale utrzymałem szklankę. Było to jedno z najlepszych piw jakie piłem, mimo tak nieapetycznego wyglądu. Postawiłem na tacę pustą szklankę i teraz nastąpiła dla mnie zagadka: komu zapłacić i ile? Ludzie wokół mnie zniknęli, nie miałem kogo zapytać. Stałem i czekałem, w końcu pozostawiłem garść monet na tacy, nie wiedząc, czy to za mało, czy za dużo i wyszedłem z nadzieją, że nikt za mną nie podąża.

2. Usiadłem przy stoliku w samoobsługowej kafeterii. Nie było papierowych serwetek, widocznie nie było na rynku, lecz sumienny menadżer poustawiał na stoliku plik sztywnych kartonów, pokrojonych mniej – więcej na miarę serwetek. Nie było czym czyścić rąk, najwyżej można się było nimi poskrobać.

3. Tego nie sprawdzałem lecz usłyszałem z miarodajnych źródeł: W  jakiejś fabryce, otwarta przestrzeń była zastawiona wielkimi drewnianymi pakami. Nie było na nich napisu i zawartość musiała być ciężka, gdyż paki powoli wgłębiały się w miękki grunt. Czas mijał i paki z anonimową zawartością wgłębiały się coraz bardziej, aż praktycznie znikły. W końcu buldożery wyrównały teren żwirem i może do dzisiaj stoją zagrzebane ze swoją tajemniczą zawartością.



Wilek Markiewicz, Madryt

**Miłosierdzie**

Małe dziewczynki szły w szeregu ulicą na peryferiach Paryża, jednako odziane, najwidoczniej z sierocińca, gdyż były za małe na szkołę. Chodziły dziarsko, jak na ich wiek, gwarząc sobie wesoło. Gdy orszak mnie minął, po chwili zdałem sobie sprawę, że jedna z „dziewczynek” była starą kobietą, karliczką, cofniętą umysłowo! Była najwidoczniej dobrze zintegrowana, ani ona ani dzieci nie zdawały sobie sprawy z różnicy. Pojęcie czasu dla niej nie istniało. Pogratulowałem w duchu prowadzącym je zakonnicom za serce, inteligencję i subtelność z jaką potrafiły jej osłodzić ostatnie lata życia.

*

Ta historia pochodzi ze szkoły w Madrycie za czasów frankistowskich. Nauczyciel, jezuita (gdyż wtedy szkoły były prowadzone przez duchownych), zapytał dwóch uczniów – braci, jak to jest możliwe, że różnica wieku między nimi wynosi tylko pięć miesięcy. – Czy jest to pomyłka? – Nie, jeden z nas jest zaadoptowany (powiedzieli gwarowo: „przygarnięty”), tylko nie wiemy który! – Nauczyciel wysłał rodzicom listem gratulacje.

*

Na nocnej zmianie, siostra szpitalna o zdeformowanej twarzy,

przy wejściu i wyjściu z sali obdarzyła końskim uśmiechem umierającą pacjentkę, która nie mogła tego zauważyć. To było pozdrowienie od bezdennej otchłani do bezdennej otchłani, to była miłość.

*

**Dworzak w szpitalu**

Gdy przyjechałem do Kanady, pracowałem przez pewien czas w torontońskim szpitalu jako pomocnik pielęgniarski (orderly). My, nowi „orderlies," otrzymaliśmy małą broszurę powiadamiającą nas o naszych obowiązkach, która rozpoczynała się poetyckim zdaniem: „nie jesteś drzewem – bądź krzakiem". Od początku więc wskazano nam nasze miejsce. Byliśmy przeważnie nowoprzybyłymi imigrantami przeróżnej narodowości. Pomocnicy pielęgniarscy i sprzątacze dzielili szatnie w ciemnej, chłodnej suterynie. Jednego ranka, gdy się przebieraliśmy, ktoś zaśpiewał mocnym barytonem fragment „Nowego Świata" Dworzaka. Odśpiewałem, skompletowałem fragment i on zareagował: „rozumiemy się!" Jest powiedzenie francuskie: „na wyżynach, gdzie szybują duchy". W tym wypadku duchy spotkały się „na nizinach".



Wilek Markiewicz, Obrazek paryski

---

**Wiliam Markiewicz**, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun" 1971 – 85. Wydawca i redaktor „Kuriera Polsko-Kanadyjskiego 1972–86. Współpracownik „Canadian Political News & Life" 1988–89. Dziennikarz francuskiego pisma „Voir" w Szwajcarii, oraz „Courier Sud" (Toronto), „Correo Hispano – Americano" (Toronto), „Latino" (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego" i „Związkowca" (Toronto). Jako artysta malarz prezentował swoje prace na

wystawach zbiorowych i indywidualnych m in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech. Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence" został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze" w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu" wydany przez wydawnictwo „Silcan House". Książka jest również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska" i „Ewa". Projekt okładki i stron tytułowych – Zbigniew Stachniak. Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto, w wieku 84 lat.

**Zobacz też:**

> Filozof bytu

*

**Komunizm na wesoło – dowcipy Ronalda Reagana:**